



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



WIOSNA 2023 (35)
KRAKÓW



WESOŁEGO ALLELUJA

Czy myśliwy powinien mieć psa?

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy

Inspiracją do napisania tego artykułu była fraza „Posiadanie psa w świecie nauki nie jest obowiązkowe, ale jest dobrze widziane”, która utkwiła mi w pamięci w trakcie lektury książki autorstwa prof. Stanisława Waltosia pt. „Czy profesor powinien mieć psa... i inne eseje”.

A jak jest z nami myśliwymi? Czy posiadanie psa jest obowiązkowe czy tylko dobrze widziane? W głównym akcie prawnym, jakim jest Ustawa Prawo łowieckie, na próżno szukać odpowiedzi na to pytanie. Z kolei w akcie wykonawczym, czyli w Rozporządzeniu Ministra Środowiska w sprawie szczegółowych warunków wykonywania polowania i znakowania tusz, czytamy tylko o pewnych obowiązkach związanych z udziałem psów w trakcie polowań, które jednak nie łączą się wprost z obowiązkiem posiadania psa. Pomimo tego, że ww. akty prawne obowiązują nas już od kilkunastu (rozporządzenie) i kilkudziesięciu (ustawa) lat, zagadnienie to jest jak najbardziej aktualne, szczególnie w obliczu toczącego się od kilku miesięcy sporu między ZG PZŁ, a Związkiem Kynologicznym w Polsce w przedmiocie choćby organizowania prób i konkursów pracy psów myśliwskich. Do niekończących się utarczek między NRŁ, a ZG PZŁ już się przyzwyczailiśmy, ale o co chodzi w sporze na linii kynologiczno-łowieckiej? Kolokwialnie rzecz ujmując – jeżeli nie wiadomo, o co chodzi, to zapewne chodzi o pieniądze albo o wpływy ... A jak jest w tym przypadku? Zapewne przekonamy się już wkrótce. Należy jednak ubolewać, że te dwie organizacje, które powinny być zainteresowane rozwojem kynologii, nie są w stanie wypracować porozumienia, propagującego jednocześnie użytkowego, jak i rasowego psa myśliwskiego. A może ten spór ukazuje, że najwyższa pora, by ten hybrydowy twór (PZŁ – ZKwP) zastąpić czymś nowym ...

Pozostawmy jednak spór między ZG PZŁ, a ZKwP i wróćmy do pytania: Czy myśliwy po-

winien mieć psa? Odpowiedź, moim zdaniem, może być tylko jedna – nie tylko powinien, ale w przypadku niektórych polowań, z przyczyn nie tyle prawnych, co etycznych – musi go posiadać.

Choć zdania myśliwych w tym zakresie są mocno podzielone spora rzesza łowieckiej braci (zazwyczaj Ci, którzy mają psy) wyraża pogląd, że polowanie bez psa jest niepełne i mało satysfakcjonujące. Nie sposób się z tym nie zgodzić, gdyż choćby polowanie na pióro bez psa i to dobrze ułożonego, jest w moim odczuciu farsą. Są też tacy, którzy tłumacząc się małym mieszkaniem lub brakiem „ręki do szkolenia psa” nigdy czworonożnego przyjaciela nie posiadali i nie będą zapewne już posiadali. O tym, że jest on niezbędny w łowisku przekonują się zazwyczaj, gdy nie potrafią odnaleźć postrzałka, bo jak twierdzą, wzrok już nie ten, bądź gdy z opresji zimnej kąpieli wybawi go pies kolegi, który zaaportuje za niego kaczkę lub gęś.

„Niestety”, a raczej „na szczęście”, ja należę do tej pierwszej grupy i posiadam psa, a nawet dwa... a Ty?



dr hab. inż. Marek Wajdzik,
prof. URK
leśnik, pracownik naukowy
Uniwersytetu Rolniczego
w Krakowie, wykładowca
Gospodarki łowieckiej.
Działacz łowiecki,
członek NRŁ.

Zostawmy wilka innym!

Henryk Okarma



fot. Rafał Łapiński

W 2021 roku opublikowałem w „Braci Łowieckiej” artykuł pt. „Myśliwi, wara od wilka!”, a w 2022 r. na łamach naszego „Myśliwca krakowskiego” artykuł „Wilk polityczny – *Canis lupus politicus*”. Punktem wspólnym obydwu tych artykułów był apel, abyśmy jako myśliwi nie angażowali się w żadne działania dotyczące wilka, w szczególności w odstrzały interwencyjne oraz eliminację mieszańców między wilkami i psami domowymi. Ponawiam ten apel, a nawet proszę o więcej: nie bierzmy udziału w żadnych dyskusjach dotyczących sposobu postępowania z wilkiem, gdyż każda nasza wypowiedź o konieczno-

ści zarządzani tym gatunkiem (co jest dla mnie oczywiste) ściąga na nas oskarżenia, że jesteśmy niedouczeni, prymitywni, żądni zabijania.

W pełni rozumiem, jako naukowiec i myśliwy, pokusę, aby zabierać głos w debatach na temat wilka, gdyż jesteśmy środowiskiem, które bezpośrednio z działalnością wilków się spotyka. Wilki zabijają jelenie, sarny, dziki, daniela, czyli zwierzęta stanowiące obiekt polowania myśliwych, co rodzi nieunikniony konflikt. Wiemy na ten temat zdecydowanie więcej niż przeciętni mieszkańcy miast, którzy są karmieni bambistycznymi opowieściami o tych drapieżnikach.

Nie powinniśmy jednak wkładać palców między drzwi, gdyż deklaracje instytucji odpowiedzialnych w Polsce za ochronę gatunkową są jednoznaczne. W dniu 8 marca 2021 r. Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w specjalnym komunikacie, reagując na opublikowane dwa dni wcześniej w witrynie internetowej Polskiego Związku Łowieckiego „Stanowiska PZŁ w sprawie wilka”, sygnowane przez Łowczego Krajowego, stwierdziła, że „*zdecydowanie dementuje wszelkie doniesienia o planowaniu wyłączenia wilka spod ochrony gatunkowej. Wilk jest i pozostanie gatunkiem ściśle chronionym*”. Skoro tak, to wyciągnijmy wnioski

z takich deklaracji. Pozwólmy instytucjom i organom państwowym tym gatunkiem się zająć. Ale zająć się kompleksowo, od a do z, łącznie z rozwiązywaniem sytuacji trudnych i konfliktowych.

Takie postępowanie jest zgodne z miejscem, jakie we współczesnym społeczeństwie wyznacza się myśliwym i łowiectwu. I nie jest to tylko zjawisko przełomu XX i XXI wieku. Już ponad 50 lat temu Tadeusz Kotarbiński, jeden z najbardziej znanych polskich filozofów, logik i etyk, w tekście pt. „Rozmyślenia wychowawcy o łowiectwie sportowym”, umieszczonym w broszurze Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami „Zwierzęta są wśród nas” (1968 r.) stwierdził, że żądza polowania jest naturalnym, prawym instynktem łowieckim, reliktem z czasów, gdy człowiek był składnikiem dżungli, a jej prawa odzwierciedlały się w jego postępowaniu. Zabijanie w tym naturalnym dla człowieka środowisku nie było celem samym w sobie, lecz źródłem życia i środkiem przeżycia. Jest to naturalne zachowanie ludzkie. Sympatia dla wszystkiego, co żyje, i sposób współegzystencji ze stworzeniami to właśnie forma istnienia w dżungli. Tak rozumiany myśliwy to namiętny uczestnik łowów powszechnych, w których uczestnictwo nie wymaga poszukiwania rozkoszy w zabijaniu samym w sobie, ponad potrzebę zdobyczy.

Kotarbiński pisał dalej, że obecnie, pod wpływem podobnej, tak samo naturalnej motywacji młody człowiek bierze broń, wytwór przemysłowy, i maszeruje nie do dżungli, ale do podmiejskiego, zagospodarowanego lasu w zupełnie innym celu. Nie poluje, aby zapewnić byt sobie i swojej rodzinie, lecz dla własnego kaprysu chce strzelać do wystraszonych, zaganianych zwierząt: cieszyć się na rozkładzie z pocztu trupków stałych i niewinnych stworzonek, mimo iż postrzelony w uszy zajęczyna skarży się dziecięcym głosem, doznając bólu, którego bez krzyku wytrzymać nie może. Na końcu Kotarbiński stwierdził, że tego typu zachowanie powinno być sklasyfikowane jako przestępstwo.

Obecnie, wiele ruchów ekologicznych nawiązuje do idei Alberta Schweitzera, zmarłego w 1965 r. alzackiego filozofa, teologa i duchownego luterańskiego. Jego ideą etyczną było poszanowanie życia, zawarte w twierdzeniu: „*Jestem życiem, które pragnie żyć, pośród życia, które pragnie żyć*”. Głosił, że celem jego etyki (traktującej o obowiązku ludzi względem istot pozaludzkich i roślin) jest zmiana perspektywy myślowej i schematów: przyjęcie innego punktu widzenia, poszerzenia kręgu istot, które obejmujemy respektem moralnym. Przemiana moralno-duchowa u człowieka nastąpić może tylko w wyniku poczucia „na własnej skórze” cierpienia, jakie odczuwają jego ofiary i uświadomienia sobie tego.



fot. Rafał Łapiński

Takie twierdzenie jest w oczywisty sposób wymierzone w myślistwo, dlatego czerpią z tego pełnymi garściami organizacje ochrony zwierząt i ruchy antyłowieckie. Twierdzą one, że w postawach myśliwych nie ma empatii, miłosierdzia, wrażliwości i uznania prawa do życia innych istot, za to bardzo wyraźnie widać z premedytacją czynione zło. Mówią, że myśliwi starają się za wszelką cenę zamaskować to co robią, a ich deklaracje mają charakter wyłącznie fasadowy i dotyczy to zarówno stosunku do zwierząt, jak i przyrody, która ich otacza. Ubierają w górnolotne słowa nic w rzeczywistości nie znaczące dla nich treści, co jest potwierdzeniem wyrafinowania i nastawienia na osiągnię-

cie przez nich zaplanowanego celu, którym jest dalsze, uprawomocnione uprawianie myślistwa. Niektórzy z naszych przeciwników twierdzą nawet, że nie mamy żadnej empatii, gdyż obciążeni jesteśmy ułomnością polegającą na moralnym niedorozwoju! Formułowane są wręcz zalecenia, aby wobec myśliwych powinno stosować się ostracyzm, myślistwo traktować jako wstydliwą przypadłość, a zabijanie „dla zabawy” musi być odczuwane jako hańba współczesnej kultury.

Wyznawcą takiej etyki jest Zenon Kuczyński, kiedyś myśliwy, a obecnie żarliwy konwertyta, jeden z najgłośniejszych w Polsce przeciwników myślistwa, publicysta i aktywista ekologiczny.

W 2010 r. opublikował w „Dzikim Życiu” artykuł pt. „Współczesne myślistwo w Polsce. Raport subiektywny”. Píše w nim wprost, że myśliwy wydaje się być postacią coraz bardziej anachroniczną, wsteczną, reprezentuje nurt, z którym ludzie muszą się rozstać – nurt twardej, jednostronnej eksploatacji przyrody i wszelkiego istnienia na Ziemi.

Według niego, polowanie to po prostu mordowanie nikomu nie zagrażającej, niewinnej leśnej zwierzyny. To, kamuflowana wzniosłą czasem retoryką i rozbudowanym rytuałem, prostacka rozrywka ludzkich samców. Jeszcze inaczej: to szczególnie wyrafinowana, bo praktykowana przez cywilizowanych ludzi, forma zadawania cierpień

żywym stworzeniom; pretensjonalne hobby służące zaspokojeniu dość prymitywnych żądz. Píše, że trzeba dążyć do tego, by myśliwy był symbolem zacofania i wstydu.

Odchodząc od osądów etyczno-moralnych autor wchodzi na nieco twardszy grunt. Píše mianowicie, że myśliwym wydaje się, iż muszą regulować pogłowie kopytnych, bo nie ma drapieżników. Twierdzi, że postawa, iż w naturze trzeba coś regulować, przypomina ręczne sterowanie gospodarką w Korei Północnej i prowadzi do nędzy w przyrodzie. Wynika z braku zaufania do procesów życiowych i ludzkiego lęku przed wszystkim. A z przyrodą można tylko współistnieć, bo sami jesteśmy jej częścią i w najgłębszym stopniu od niej zależymy.

I na końcu jednoznacznie stwierdza: natura reguluje się sama. Jest to znów zasadniczy argument przeciwko myśliwym, bo jeżeli przyroda daje sobie radę bez nas, to przecież my tylko przeszkadzamy naturalnym procesom. Argument chwytliwy dla wszystkich, którzy nie mają pojęcia o tym, jak funkcjonują współczesne ekosystemy, jakkolwiek zupełnie nieprawdziwy z biologicznego punktu widzenia. Większość ekosystemów na świecie to obecnie ekosystemy zniekształcone, zaburzone, bądź też wręcz stworzone przez człowieka. Według Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa FAO (dane za 2022 rok), w całej powierzchni naszej planety, nadającej się do zamieszkania i wykorzystania przez ludzi, prawie połowa to agrocenozy, a 38% - lasy (z czego 1/3 są to lasy gospodarcze). Ekosystemy te oferują ogromną bazę żerową dzikim roślinożercom, których populacje rosną w szybkim tempie. Czystą mrzonką jest twierdzenie, że natura (czytaj: drapieżniki) są w stanie opanować ten wzrost i regulować populacje.

Wilk wkrótce będzie, w mojej opinii już jest, najlepszym przykładem fiaska takich ideologii. Populacja tych drapieżników wzrasta w szybkim tempie, bytują one coraz bliżej człowieka, coraz wyższe są szkody wśród zwierząt hodowlanych, pojawia się coraz więcej relacji o niepokojących zachowaniach wilków (często agresji) w stosunku do ludzi, powszechnie zabijane są psy domowe. Skoro jako myśliwi nie jesteśmy traktowani jako partnerzy w dyskusjach o wilku, a także szerzej – o wykorzystaniu i ochronie zasobów przyrody), zostawmy konsekwentnie instytucjom odpowiedzialnym za utrzymywanie ścisłej ochrony wilka oraz wszelkim zielonym organizacjom cały ten bałagan. Niech oni eliminują wilki problemowe i mieszańce, czy też odławiają osobniki pojawiające się wśród ludzi.

Wielokrotnie powtarzałem, że każdy myśliwy, który świadomie strzela do wilka popełnia prze-



fot. Rafał Łapiński

stępstwo. Powinno to być przez nasze środowisko jednoznacznie napiętnowane. Należy jednak zwrócić uwagę, że oprócz tego, iż przypadki takie są natychmiast wykorzystywane przez naszych przeciwników do tworzenia w społeczeństwie jak najgorszego obrazu myśliwych, to mają one także ważny wymiar praktyczny, paradoksalnie korzystny dla zwolenników ścisłej ochrony wilka. Każdy nielegalnie odstrzelony wilk to zmniejszenie potencjału reprodukcyjnego populacji tych drapieżników, to odsunięcie w czasie osiągnięcia takiej liczebności wilków i eskalacji konfliktów z człowiekiem, że odpowiednie instytucje będą same musiały zrewidować swoje stanowisko.

Zostawmy więc wilka w rękach tych, którzy wiedzą lepiej, odczuwają właściwiej, cechują się stosowną wrażliwością. Być może „problem wilka” zostanie niezadługo rozwiązany przez ludzi naprawdę przejmujących się dobrostanem zwierząt. W 2020 r. ukazała się bowiem w poważnym międzynarodowym czasopiśmie naukowym „Journal of Applied Philosophy” praca pt. „Painlessly Killing Predators”, której autorem jest australijski filozof dr Ben Bramble. Autor stwierdza w niej, że zwierzęta doznają rozlicznych krzywd nie tylko przebywając w „niewoli” u człowieka, ale także na wolności. Część z tych cierpień zwierząt dziko żyjących także jest powodowana przez człowieka

(np. myślistwo), ale większość z nich jednak nie. Weźmy na przykład pod uwagę szeroko rozumiane cierpienia spowodowane przez drapieżnictwo, do których można zaliczyć lęk potencjalnych ofiar przed staniem się obiektem polowania oraz ból, kiedy są atakowane, ranione i zjadane. Krzywdy te obejmują także utratę wszelkich przyjemnych wrażeń, których te zwierzęta mogłyby doznać, gdyby nie były przedwcześnie poddawane presji drapieżników i przez nie zabijane.

Autor zastanawia się dalej jak moglibyśmy przeciwdziałać tym cierpieniom dzikich zwierząt i proponuje dwie możliwe drogi. Pierwszą, najbardziej dla niego oczywistą i osiągalną za pomocą

obecnie posiadanych przez nas środków, byłoby „PKP”. Nie jest to skrót oznaczający Polskie Koleje Państwowe, co starszym z nas też może kojarzyć się z traumą i bólem, ale podróżowania, tylko „Painlessly Killing Predators, czyli bezbolesne zabijanie drapieżników. Autor, nieco mimochodem, zauważa co prawda, że takie działanie oczywiście eliminowałoby u potencjalnych ofiar cierpienia powodowane drapieżnictwem, jednak wtedy to drapieżniki poniosłyby duże krzywdy. Skróciłoby to ich życie i ograłoby z przyjemności życia. Stwierdza jednak, że drapieżników jest znacznie mniej niż ich ofiar.

Autor pisze dalej, że kolejnym kosztem takiego działania obciążeni byłiby ludzie, gdyż chociaż samo drapieżnictwo jest przerażające, to drapieżniki są piękne na niezliczoną ilość sposobów. Weźmy choćby pod uwagę ich oczy, głowy, futra lub pióra, sposób poruszania się na lądzie, w powietrzu i wodzie, zabawy z pobratymcami, opiekę nad potomstwem. Utrata drapieżników na naszej planecie byłaby więc ogromną stratą dla ludzkości.

Dr Bramble rozważa więc drugą możliwość, pozbawioną w większości wyżej wymienionych obciążeń, a mianowicie „HP” („Herbivorise predators”), czyli „uroślinożerzenie drapieżników”. Miałoby to polegać na genetycznym zmodyfikowaniu drapieżników tak, aby ich potomstwo stopniowo ewoluowało w kierunku roślinożerności. Jeżeli przeprowadziłoby się takie działania, wówczas drapieżnikom nie skracano by życia, a ludzie dalej czerpali by przyjemność z obecności tych pięknych zwierząt na naszej planecie, zwierząt, które już jednak nie miałyby apetytu na mięso. Autor co prawda przytomnie zauważa, że nie posiadamy obecnie technologii, która pozwalałaby na takie manipulacje genetyczne, jednak ma nadzieję, że kiedyś będzie to możliwe.

Rozważania dr Bramble wydają się kuriozalne dla każdego, kto ma choćby jakieś pojęcie o zwierzętach i przyrodzie, a myśliwych zaliczam do tego grona. Jednak już sam fakt ich opublikowania oznacza, że nawet najbardziej idiotyczne pomysły dotyczące drapieżników mogą być przez niektórych poważnie rozważane. Nie przeszkadzajmy im w tym!



prof. dr hab. Henryk Okarma
biolog, pracownik naukowy Instytutu Ochrony Przyrody PAN i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się ekologią zwierząt, biologią łowiecką i ochroną przyrody. Autor licznych prac naukowych i książek dotyczących łowiectwa

Co należy zrobić, by w łowisku jarząbek był liczniejszy?

Marcin Matysek



fot. Agata, Mateusz Matysiakowie

Kto zobaczył w łowisku jarząbka, a go nie wabił, ten może uważać, że Święty Hubert mu darzy. Znam wielu nemrodów lub przyrodników, którzy w swoim życiu przemierzali wzdłuż i wszerz wiele kilometrów kniei, a gatunku tego nie spotkali. Zadajmy sobie więc pytanie, dlaczego tak rzadko jarząbek jest obserwowany w naszych łowiskach?

Jarząbek, to gatunek lasów stref borealnej i umiarkowanej w Euroazji. Zasiedla on tajgę od Skandynawii po Kamczatkę, północne Chiny i Koreę, góry Europy Środkowej, Bałkany, a także Sachalin i Hokkaido. Główna część zasięgu jarząbka w Europie obejmuje północną, wschodnią i środkową część kontynentu – od Fennoskandii i Rosji po ukraińskie Polesie, wschodnią Polskę i Karpaty. Drugi rejon występowania gatunku obejmuje góry półwyspu Bałkańskiego, Alpy, Jure, Wogezy i Masyw Czeski.

W Europie wyróżniono 7 podgatunków, nato-

miaszt wg różnych autorów w Polsce może występować od 3 do nawet 5 podgatunków jarząbka.

Gatunek ten zasiedla lasy nizinne i górskie oraz lokalnie pasmo kosodrzewiny, preferując zwarte kompleksy leśne, iglaste i mieszane o zróżnicowanej strukturze wiekowej, gatunkowej i dużym zróżnicowaniu zmiennych siedliskowych. Lokalnie także pofragmentowane lasy o powierzchni nie mniejszej niż 70 ha, przy czym najchętniej zasiedla te o powierzchni powyżej 400 ha. Jarząbek jest gatunkiem terytorialnym, a wielkość jego terytorium uzależniona jest od pory roku i jakości środowiska. Terytoria zimowe są najmniejsze, ich wielkość waha się od 2 do 16 ha, a terytoria w okresie wodzenia piskląt mogą mieć powierzchnię do trzydziestu kilku ha. Jak się wydaje wielkość terytoriów może być powiązana z jakością preferowanego środowiska. Jarząbki żywią się głównie pokarmem roślinnym, takim jak nasiona, jagody, kwiaty, owoce gatunków lekkonasiennych, mło-

de pędy. Wiosną i latem ich dietę stanowią również bezkręgowce, którymi żywią się głównie pisklęta. Średnie wiosenne zagęszczenie populacji tego gatunku w Polsce wynosi od 0,1 do około 5,5 stanowiska/km². Na innych obszarach w obrębie arealu występowania gatunku wiosenne zagęszczenie waha się od 1 do 15 stanowiska/km². Zagęszczenie >10 stanowisk/km² osiągają populacje w północnej Europie. Tak duże różnice w zagęszczeniach najprawdopodobniej można tłumaczyć odmienną jakością siedlisk leśnych, dużymi wahaniami zagęszczeń pomiędzy poszczególnymi latami tego gatunku. Jarząbek jest liczniejszy i łatwiejszy do wykrycia niż głuźzec i cietrzew, jednakże dzięki zbliżonym do siebie preferencjom siedliskowym i biologii okresu lęgowego może być wykorzystany jako gatunek modelowy kuraków leśnych.

Jak raportuje European Environment Agency w większości krajów Unii Europejskiej trend populacji jarząbka określony został jako spadkowy. Do końca XIX wieku jarząbek występował nierównomiernie, ale na terenie całego obszaru dzisiejszej Polski. Regres populacji objął tereny zachodnie i centralne w związku z tendencjami do ówczesnego zagospodarowania lasów. Według tzw. szkoły niemieckiej obecność jarząbka w lesie świadczyła o wadliwej, nieuporządkowanej gospodarce leśnej. Z lasów Polski centralnej i Pomorza jarząbek wycofał się około roku 1870, z Wielkopolski ok. roku 1910, a z Borów Górnośląskich w latach 30-tych XX wieku. Już w 1924 roku Krawczyński w dziele „Łowiectwo” pisze „...na zachodzie kraju ptak ten jest rzadki...”, natomiast Sokołowski w 1972 roku w „Ptakach ziem Polski” podaje, że w zachodnich województwach jest na wyginieciu, a w centralnej Polsce zachował się tylko w małej ilości i na odosobnionych terenach...”.

Obecnie w Polsce jarząbek występuje w różnych zagęszczeniach w sześciu rejonach. Najliczniejszymi i zarazem najstabilniejszymi populacjami są: południowo-wschodnia (Karpaty oraz Kotlina Sandomierska), północno-wschodnia (Mazury, Warmia, Suwalszczyzna, Podlasie i Polesie) i wschodnia (Roztocze). Mniej liczne populacje to: środkowopolska (Wyżyna Małopolska i Śląska), południowo-zachodnia (Sudety) oraz metapopulacja najmniej liczna - północno-zachodnia (izolowane stanowiska na Pomorzu, Wielkopolsce i Ziemi Lubuskiej).

Stan populacji lęgowej jarząbka oceniany był w Polsce pod koniec XX wieku na 70 tys. osobników (w przeliczeniu 35 tys. samców), a na początku XXI w. na 15-20 tys. samców. Samo zestawienie szacunków liczebności mogłoby

wskazywać na silny spadek, ale wydaje się, że liczebność jarząbka jest stabilna podlegając jednocześnie naturalnym fluktuacjom, gdzie wartości skrajne występujące co 5-7 lat mogą się różnić między kolejnymi latami o 30 -40%.

Z uwagi na prowadzenie przez jarząbka skrytego trybu życia, jest to gatunek trudny do badania, wobec czego jego biologia i ekologia jest niedostatecznie poznana. Jarząbki posiadają maskujące ubarwienie piór i nawet ich głos terytorialny nie wyróżnia się zasadniczo od innej pierzastej, leśnej braci. Warto podkreślić, że jarząbek odbywa toki rzeczywiste na wiosnę (rzeczywisty sezon godowy) i pozorne jesienią, kiedy to młode, tegoroczne ptaki znaczą nowe terytoria po rozpadzie stad rodzinnych.

Gatunek ten jest użytkowany łowiecko w okresie od 1 września do 30 listopada. Głównie w Karpatach i puszczach północno-wschodniej Polski, gdzie rocznie pozyskuje się około 100 osobników. Polowanie na te ptaki najczęściej polega na stymulacji pieśnią terytorial-



fot. Marcin Matysek



fot. Agata, Mateusz Matysiakowie

na, za pomocą specjalnych gwizdków, samców jarząbka. Sporadycznie do polowania na ten gatunek wykorzystuje się również legawce i płochacze. Wabienie nie należy do najłatwiejszych i tylko niewielka część myśliwych i ornitologów wykazuje tę zdolność. Z kolei sam gatunek nie należy do najłatwiejszych i kapryśnie reaguje na wab. Stosując metodę wabienia, najlepsze wyniki otrzymuje się w godzinach szczytu aktywności głosowej, przypadającej na godzinę po wschodzie słońca do godzin przedpołudniowych i aktywności wieczornej od godzin popołudniowych do zachodu słońca. Na skuteczność metody (odpowiedzi jarząbka) wysoce istotnie wpływa pogoda - bez opadów atmosferycznych, bez wiatru, bez zachmurzenia o temperaturze w zakresie od +1 do +10°C. Odpowiedź gatunku na wab różni się w zależności od toków. Najczęściej reagują samce, ale i samice czasami wykazują zainteresowanie i podfruwają lub podbiegają do wabiącego. Podczas toków rzeczywistych ponad 80% samców reaguje na wabienie śpiewem terytorialnym w porównaniu z tokami pozornymi, gdzie tylko około 50 % samców śpiewa. W tokach jesiennych więcej jarząbków (około 20%) reaguje na wabienie poprzez trzepot skrzydeł i burknięcie w porównaniu z tokami wiosennymi, gdzie tylko kilka procent samców

wykazuje taką zależność. W czasie toków pozornych więcej samców (około 10%) nie reaguje na wabienie w porównaniu z tokami rzeczywistymi, gdzie tylko nieliczne ignorują wabiacza.

Z kolei polowanie z psami może być skuteczne przede wszystkim w populacjach o dużych zagęszczeniach, co zwiększa szansę wyszukania jarząbka przez dobrze ułożonego legawca lub płochacza.

Należy pamiętać, że liczebność populacji jarząbka jest limitowana nie przez ingerencję myśliwych tylko przez oddziaływanie drapieżników w okresie wysiadywania jaj, przez niekorzystne warunki pogodowe w okresie wodzenia piskląt, czy przez nieodpowiednie dla gatunku kreowanie przez zarządców leśnych warunków środowiskowych.

Badania nad preferencją siedliskową jarząbka były prowadzone w różnych siedliskach leśnych Europy. W literaturze odnajdziemy też kilka publikacji dotyczących wpływu poszczególnych zmiennych środowiska leśnego na kreowanie poziomu presji drapieżników na populację. Przytoczone poniżej wyniki badań pochodzą z prac prowadzonych w Beskidach lub Tatrach.

W toku prowadzenia badań została określona dla zagospodarowanych lasów Beskidów wartość krytyczna różnorodności gatunków drzew

i krzewów poniżej której, nawet przy optymalnej dla gatunku pionowej budowie drzewostanu, jarząbek nie występuje. Jarząbek zasiedlał miejsca, które porastało 5 i więcej gatunków drzew i krzewów. Ponadto istotnymi zmiennymi odpowiadającymi za jego występowanie był większy udział w drzewostanie gatunków drzew i krzewów liściastych, w szczególności obecność gatunków pionierskich, lekkonasiennych takich jak np.: topola, olsza, wierzba i brzoza oraz leszczyny. Obecność zarastających polan lub niezalesionych halizn wydaje się być również kluczową zmienną preferowaną przez gatunek, z uwagi na większą bazę pokarmową i osłonę przed drapieżnikami, szczególnie w tak preferowanych przez jarząbka ekotonach. Na miejsca swojego występowania jarząbki wybierały drzewostany o mniejszym zwarcu koron, gdzie podszyt i runo charakteryzowało się większym zwarciem. W lasach zdominowanych przez monokultury iglaste gatunek ten występował w lukach powstałych w wyniku silnych podmuchów wiatru halnego lub żerowania kornika oraz w wyniku działalności grzybów (opieńka, korzeniowiec). Warte podkreślenia jest to, że jarząbek nieznacznie przemieszcza się w obszarze swojego terytorium w ciągu całego roku, wybierając miejsca, które zapewniały mu większą ochronę przed drapieżnikami. Podczas badań zaobserwowano zmianę preferencji pod wzglę-



fot. Marcin Matysek

dem udziału gatunkowego drzew iglastych i liściastych. W porze ulistnienia roślin jarząbek przebywał w drzewostanach, gdzie dominowały gatunki liściaste takie jak np. brzoza, wierzba. Z nastaniem jesieni i opadu liści gatunek ten przemieszczał się w obrębie swojego terytorium do miejsc, gdzie udział gatunków liściastych był mniejszy na korzyść gatunków iglastych, takich



fot. Agata, Mateusz Matysiakowie



fot. Marcin Matysek

jak świerk czy jodła. To zachowanie należy tłumaczyć minimalizowaniem ryzyka ze strony drapieżnika np. jastrzębia.

Sukces lęgowy ptaków gnieźdzących się na ziemi (w tym jarząbka) jest silnie związany z liczebnością drapieżników. Wiele drapieżników żywi się głównie gryzoniami, a gdy ich zagęszczenia są niskie, zmienia źródło pokarmu (hipoteza alternatywnego źródła pokarmu) m.in. na jaja lub młode ptaki. Badania w Tatrach z użyciem sztucznych gniazd imitujących lęgi jarząbka wskazały, że jaja zjadane były głównie przez ssaki takie jak kuna leśna czy lis rudy. Stwierdzono, że po znacznym spadku liczebności gryzoni następował wzrost drapieżnictwa na sztuczne gniazda, co potwierdza hipotezę alternatywnego źródła pokarmu i sugeruje, że przeżywalność lęgu ptaków, które zakładają gniazda na ziemi, zmienia się i zależy od zagęszczenia gryzoni. W tych badaniach określono również zmienne siedliskowe, które mogą być odpowiedzialne za minimalizację ryzyka drapieżnictwa na sztuczne gniazda, imitujące lęgi jarząbka. O przetrwaniu lęgu decyduje

wiele czynników, między innymi miejsce umieszczenia gniazda. Sztuczne gniazda były znacznie częściej rabowane przez drapieżniki w miejscach o niższym udziale martwego drzewa i paproci. Prawdopodobieństwo zrabowania lęgu wzrastało przy mniejszej różnorodności gatunkowej runa leśnego oraz mniejszym udziale uczęszczanych dróg leśnych i szlaków turystycznych.

Jak się również okazuje bezstronna obecność człowieka w lesie nie jest bez znaczenia dla zwierząt. Obecność ludzi w środowisku generuje np. tzw. „krajobraz strachu”, który ogranicza dostęp zwierzętom do środowiska. Z prowadzonych prac wynika, że prawdopodobieństwo występowania stanowiska jarząbka rosło wraz ze zwiększającą się odległością od szlaków turystycznych i spadkiem natężenia ruchu turystycznego. Opierając się na wynikach badań można zasugerować, że obecność szlaków turystycznych i natężenie ruchu turystycznego to ważne czynniki wpływające na rozmieszczenie i sukces lęgowy ptaków gnieźdzących się na ziemi na obszarach chronionych.

W niniejszym artykule z przyczyn objętościowych nie zawarto wszystkich kluczowych zmiennych limitujących liczebność jarząbka w naszych łowiskach. Z tego względu sformułowano kilka konkluzji konserwatorskich, a zainteresowanych poszerzeniem wiedzy zapraszam do zapoznania się z bibliografią (dostępną u autora artykułu).

1. W miarę możliwości proponuje się, aby zręby były naturalnie odnawiane, co przyczyni się do większej różnorodności genetycznej, jak i gatunkowej (w tym większego udziału w drzewostanie preferowanych przez jarząbka lekkonasiennych, pionierskich gatunków) nowej uprawy.
2. W celu poprawy warunków egzystencji jarząbka, jak i wielu innych gatunków ptaków leśnych, zaleca się pozostawianie na zrębach niewielkich (kilkuarowych) obszarów niezalesionych.
3. W celu zwiększenia różnorodności gatunkowej i wiekowej drzewostanu proponuje się, aby w trakcie prowadzenia trzebieży, oprócz gatunków lasotwórczych, pozostawiać domieszki innych gatunków drzew i krzewów.
4. Dla zwiększenia różnorodności środowiskowej zaleca się we wszystkich klasach rębni pozostawianie kilkuarowych powierzchni drzewostanu rębnego (tzw. kęp ekologicznych) oraz martwych drzew i wykrotów.



dr inż. Marcin Matysek

Leśniczy ds. szkółkarstwa leśnego w Tatrzańskim Parku Narodowym. Absolwent Studium Doktoranckiego przy Instytucie Ochrony Przyrody PAN Krakowie, Wydziału Hodowli i Biologii Zwierząt i Wydziału Leśnego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. Uczeń Ś.P. dr hab. Zbigniewa Bonczara. Faunista, ornitolog, specjalista z zakresu biologii i ekologii jarząbka, któremu poświęcił większość pracy naukowej. Autor kilkudziesięciu publikacji. Z zamiłowania pszczelarz, przyrodnik i leśnik.



fot. Marcin Matysek

Ochrona rysia – nasza wspólna sprawa

Jan Loch



Ryś kojarzy się nam z bystrością wzroku, z wyjątkowymi umiejętnościami łowieckimi, zwłaszcza w polowaniu indywidualnym.

Mając na względzie wygląd naszych „milusińskich” – kotów domowych, to trudno nam sobie na dobrą sprawę wyobrazić tak wielkiego kota. Jest przecież niemal wielkości sarny. Jeżeli do tego dodamy, że nawet domowy kot nie łatwo nam się daje złapać, a jego pazury czy zęby grożą poważnymi konsekwencjami, to co dopiero w przypadku większego i silniejszego od nich rysia. Budzi to niewątpliwie respekt. Na szczęście ryś nie stwarza nam specjalnie takich okazji...

W porównaniu z innymi dużymi ssakami, drapieżnymi czy kopytnymi, rysie mamy bardzo mało – w Polsce zaledwie około dwustu osobników. W większości polskich regionów nie występuje i chcąc spotkać choćby jego ślady bytowania w postaci tropów trzeba przejechać kilkaset kilometrów. Dlatego ten „tygrys polskiej kniei” zasługuje na szczególną uwagę i ochronę. Powinniśmy kontrolować jego obecność nie tyl-

ko na obszarach chronionych, ale także innych terenach, choćby w nadleśnictwach czy obwodach łowieckich.

Gorczański Park Narodowy (GPN) jest typowo leśnym parkiem ze środowiskami sprzyjającymi rysiom. Ma urozmaiconą rzeźbę terenu z licznymi wychodniami skalnymi w postaci „ambon”, duże obszary ochrony ścisłej z dużą ilością leżących pni i wykrotów, śródleśne polany, na których lubią żerować sarny i jelenie.

W pierwszych latach po utworzeniu GPN (1981 r.) kontrolę występowania rysia prowadzono głównie w okresie zimowym poprzez tropienie. Znacząca zmiana w liczbie obserwacji i pozyskiwanej dokumentacji filmowej i fotograficznej nastąpiła pod koniec 2013 roku, od kiedy zaczęto prowadzić monitoring przyrodniczy za pomocą fotopułapek (ukrytych kamer). To już prawie 10 lat. Mimo, że w tym czasie bezpośrednio nie widziałem rysia ani razu, to nagrań z fotopułapek (zdjęć i filmów) mamy w archiwach parku kilka tysięcy. Daje to wy-

obrażenie, z jednej strony, o wyjątkowej ostrożności i bystrości rysia, a z drugiej pokazuje możliwości jakie niesie ze sobą zastosowanie różnych technik dokumentowania. Oprócz fotopułapek są jeszcze inne, chociażby telemetria, badania genetyczne, kamery termowizyjne, zastosowanie dronów. Jednak zadaniem tego artykułu nie jest porównywanie tych metod, ale przedstawienie możliwości jednej z nich.

Przeglądając szczegółowo zebraną dokumentację (co najmniej kilka, a niekiedy kilkanaście razy) wypracowaliśmy umiejętność identyfikacji rejestrowanych osobników rysia. Wykorzystujemy przy tym plamkowanie na sierści, które jest dla nich niepowtarzalne. Praktycznie jest to niezliczona ilość kombinacji mniejszych lub większych plam, kresek, niewielkich punktów na różnych częściach ciała. A ponieważ trafiają się osobniki o różnym umaszczeniu (od wyraźnie plamkowanych, poprzez układy rozetkowe, marmurkowe, aż do niemal braku plam i ograniczenie ich do części nóg), to i ich identyfikacja może być przeprowadzona z różnym stopniem trudności. Najłatwiej identyfikuje się rysie o wyraźnych ciemnych plamach z kilkoma większymi plamami kojarzącymi się z jakimiś kształtami, np. kształt haka, stąd u nas ryś R14 otrzymał imię „Kapitan Hak” (patrz fotografia

poniżej) lub znamię w kształcie greckiej litery epsilon – ryś R29 o imieniu „Epsilon”. Ważna jest też umiejętność rozpoznawania płci, co wcale nie jest łatwe w przypadku kotów (dobrze wiedzą o tym osoby mające w domu koty lub starające się nabyć kota o określonej płci). Z czasem jednak, oglądając setki zdjęć, można nabrać wprawy i jeżeli tylko osobnik odpowiednio zaprezentuje się przed kamerą – jest to możliwe, chociaż nie na każdym ujęciu się to udaje.

Nasze wyobrażenia o stanie liczebnym rysia na terenie GPN było szablonowe, oparte na ustnych przekazach od służb leśnych i myśliwych. Z informacji tych wynikało, że teren może wystarczyć co najwyżej dla jednego kocura i dwóch kotek wychowujących młode. Niemal 10-letnie monitorowanie rysia dowiodło, że w niektórych sprawach „ludzie lasu” mieli rację, a w innych rzeczywistość bardzo nas zaskoczyła. Analizując ponad dwa tysiące zdjęć i filmów pozyskanych w latach 2014–2022 udało nam się zidentyfikować 45 różnych osobników rysia, w tym 2 samice wychowujące młode na tym terenie, 2 samice z młodymi odwiedzającymi sporadycznie teren Parku, 1 samotną samicę, około 20 kociąt w liczbie 2–4 w miocie, około 20 samców rotacyjnie zmieniających zajmowany teren, rejestrowa-





fot. 3



Przykład identyfikacji rysia R33. U góry zdjęcie z N-ctwa Nowy Targ, na dole zdjęcie z GPN. Fot. Archiwum GPN. Zdjęcie z fotopułapki



fot. 4

nych najczęściej (od 2 do 5 osobników) w okresie godowym (marcowania) przypadającym na tym terenie na okres od stycznia do marca. I ta informacja najbardziej nas zaskoczyła, bo sądził się, że jak mocny kocur „zasiądzie tu na tronie”, to już będzie panował dożywotnio. Tymczasem można było wśród nich wyróżnić osobniki niemal przelotne (w drodze) i takie, które regularnie penetrowały teren przez kilka lat.

Przykładem kocura „w drodze” był osobnik R36 „Leluch”, który zarejestrował się na naszym terenie tylko 1 raz – 22 listopada 2018 roku – na platformie skalnej na północnych zboczach Kudłonia. Następnie po 15 miesiącach był rejestrowany przez fotopułapki od kwietnia do sierpnia w Nadleśnictwie Piwniczna, w lasach pomiędzy Muszyną i Leluchowem. Dalszy, ok. 60-kilometrowy wypad w sąsiednie tereny udało się udokumentować (fot. 3) w przypadku samca R14 „Kapitan Hak”, który był stałym bywalcem na terenie GPN w latach 2015-2020. 5 marca 2020 roku zarejestrował się w GPN, w masywie Kudłonia, 9 marca był już w Nadleśnictwie Stary Sącz, Leśnictwo Gaboń, a 30 marca zameldował się na powrót we wschodniej części GPN, w masywie Gorca Kamienickiego. Niedługo po tym wydarzeniu przestał się ujawniać na terenie Parku.

Rejestrujemy rysie o różnych porach dnia i roku, mamy możliwość obserwacji zachowań w różnych sytuacjach życiowych, sytuacjach tak skrytych, że chyba nawet najlepszym obserwatorom by się to nie udało. I tak dla przykładu oglądamy w środku nocy kotkę leżącą na boku z głową daleko odrzuconą w tył, z błogo zamkniętymi oczyma i karmiącą kocięta. Innym razem kotka, leżąc w środku dnia na plecach, bawi się w najlepszego ze swoim małym synkiem. Inna scena przedstawia matkę czterech kociąt patrzącą dumnie na swoją gromadkę i z lubością liżącą niemal każdą część ciała wypychających się przed nią kociaków (fot. 4). Po prawie dwóch miesiącach ta sama troskliwa matka w tej samej scenerii staje się surowa, wymagająca, warcząca na każdego zbliżającego się młodego rysia. Oznacza to, że okres karmienia mlekiem się skończył, trzeba matce dać odpocząć i myśleć o innym pokarmie.

Okres wychowu młodych to dla kotki czas wzmożonych polowań. Badania wykazują, że wychowanie 3-4 kociąt wymaga od matki upolowania sarny co 2 dni. Z pewnością, jeżeli nadarzy się okazja, to nie przepuści jarząbki, zającowi, czy nawet drobnym gryzoniom. Czas szybko leci, mija lato, jesień, a z nadejściem zimy zbliża się i okres godowy rysia. Wśród leśników i myśliwych utarło się przekonanie, że przed marcowaniem kotka porzuca młode i „idzie w tany” z kocurami. Nasze obserwacje temu przeczą. Dysponujemy nagraniami, na których kotka z młodymi podchodzi do siedzącego kocura. Innym razem do kotki bawiącej się z dwoma kociętami zbliża się samiec. Młode wybiegają mu na spotkanie i zachęcają do zabawy (fot. 5a). W zgromadzonych przez nas zdjęciach i filmach nie dało się zauważyć agresji

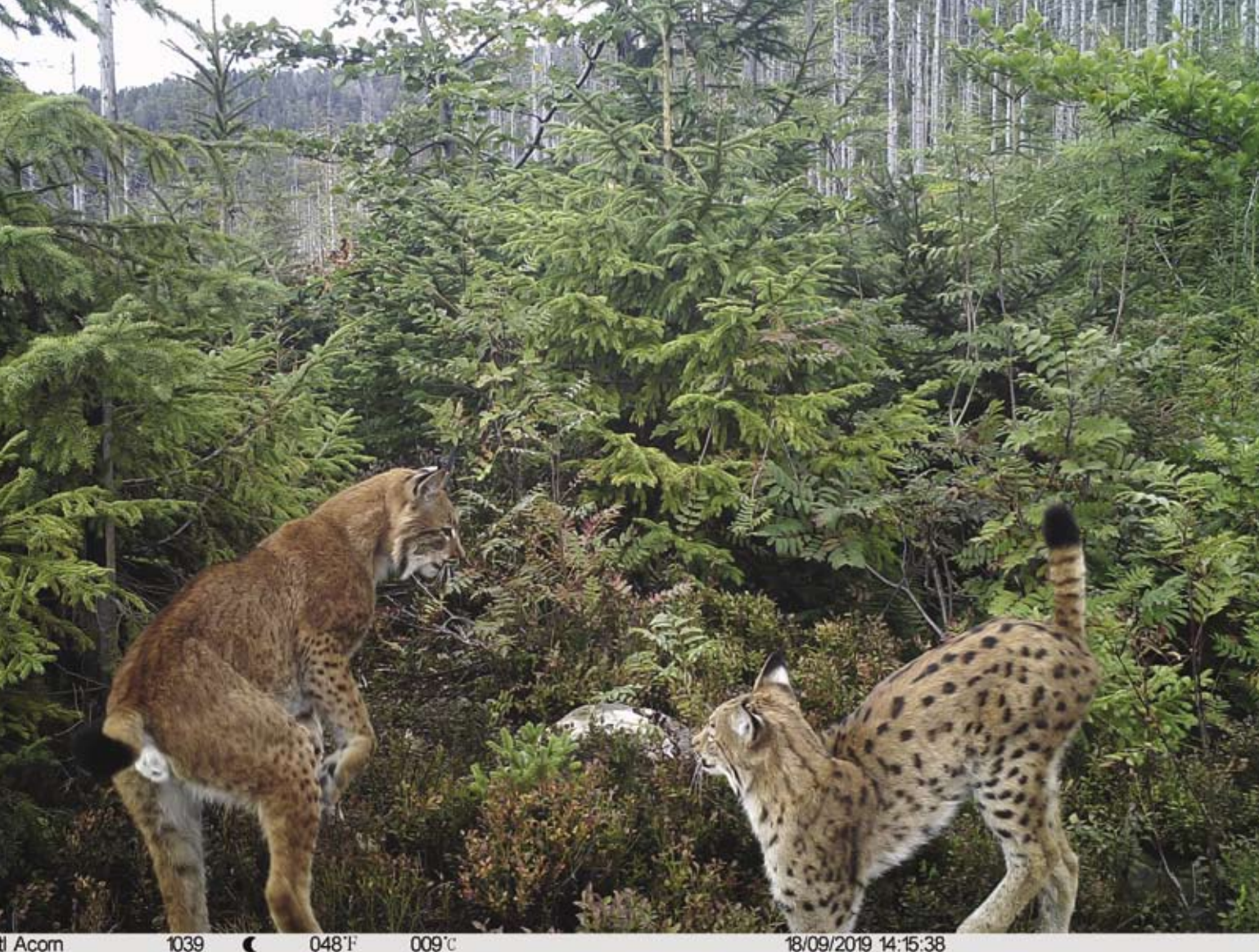


fot. 5a

u kocura. Owszem, w takich sytuacjach kotka jakby wykazywała pewne zniecierpliwienie i niedowierzanie zachowaniom samca, nie spuszczając z oka swoich dzieci, co mogłoby świadczyć o tym, że nie ma pełnego zaufania do jego „ojcowskich odruchów”. Kotkę z młodymi rejestrowaliśmy najdłużej do połowy kwietnia. Ciekawie to wygląda, kiedy kotka troskliwie liże większe już od niej „maluchy”. Nie wiemy, jak wygląda rozstanie z młodymi. Od hodowców kotów usłyszałem kiedyś, że kotka domowa, kiedy przychodzi następna ciąża, stara się przepędzić wychowane dzieci ze swojego rewiru. Czy tak jest też u rysia? Na podstawie naszych blisko 10-letnich obserwacji możemy stwierdzić, że w większości przypadków młode dziwnie znikają w kwietniu i nie rejestrowały się na fotopułapkach. Do rzadkości należą przypadki rejestracji po upływie roku. Naszym chlubnym wyjątkiem jest ostatnia zarejestrowana córka samicy R4 „Gonadki”, która prawdopodobnie, mając niespełna rok, pod koniec kwietnia samodzielnie upolowała sarnę i przychodziła do niej przez kilka dni. Ta sama kotka w drugiej połowie tegoż roku (mając około roku i trzech miesięcy) zaczęła umizgi do starszego kocura R33. Jemu o tej porze roku najwyraźniej nie było to w smak i natrętna wielbicielek po kilku próbach przymilania się do kocura otrzymała solidne uderzenie w głowę i tak za-

kończyły się jej przedwczesne amory (fot. 6).

A co dzieje się z młodymi rysiami po opuszczeniu rodzinnego rewiru? Tu niestety mamy jeszcze bardzo skąpe informacje. Nasze monitorowanie rysia kończy się zasadniczo na granicy Parku. Mamy tylko pojedyncze informacje zwrotne z dwóch sąsiadujących z nami Nadleśnictw: Nowy Targ i Limanowa. Jednorazowo mieliśmy też dostęp do materiałów z Beskidu Sądeckiego. Ale mamy też i inny nietypowy przykład wędrówki podejmowanej przez młodego samca rysia po opuszczeniu matki. Nietypowy, bo przedstawiający historię rysia, który nie wyszedł od nas, ale do nas przybył z odległego od nas o około 80 km rejonu Słowacji. Dotyczy osobnika o imieniu „Filomen” (fot. 7) zaopatrzonego jako młody, 6-miesięczny samiec, w obrożę telemetryczną pod Babią Górą na terenie CHKO Horna Orava. Zdarzenie miało miejsce 17 grudnia 2019 roku i od tej pory młody ryś rozpoczął swoją długą wędrówkę, której trasy znamy dzięki wysyłanemu przez obrożę sygnałowi GSM. Początkowo były to tereny przygraniczne: Babiogórski Park Narodowy, Nadleśnictwo Jeleśnia, po czym wyruszył na wschód w kierunku Beskidu Makowskiego, Beskidu Wyspowego, docierając pod koniec 2020 roku w Gorce. Ruchliwą drogę ekspresową „Zakopiankę” pokonał przechodząc prawdopodobnie pod wiaduktem wzdłuż rzeki Krzczonówki,



fot. 6

o czym mogą świadczyć sygnały GSM oraz tropy rysia stwierdzone na piasku nad brzegiem Raby pomiędzy Pcimiem, a Lubniem. Pierwszy film rysia z obrozą telemetryczną uzyskaliśmy 8 stycznia 2021 roku z zachodniego rejonu Gorczańskiego Parku Narodowego położonego pod Halą Turbacz. Dzięki uprzejmości pracowników Babiogórskiego Parku Narodowego uzyskaliśmy obraz osobnika z obrozą nagranych wcześniej w ich rejonie w 2020 roku. Ze względu na wyraźne, plamiaste umaszczenie młodego rysia, jego identyfikacja nie była trudna. Porównanie układu plam jednoznacznie potwierdziło, że osobnik z obrozą to ryś „Filomen” urodzony na Słowacji w 2019 roku na terenie CHKO Horna Orava. Młody samiec przez kilka miesięcy przebywał na terenie GPN rejestrując się na fotopułapkach rozstawionych po całym terenie Parku. Pod koniec kwietnia 2021 roku przestał się jednak nagrywać. Ustało działanie urządzenia GSM. W następnych miesiącach nie mieliśmy o nim żadnej informacji. Dopiero wiadomość od myśliwych z Koła Łowieckiego „Pusz-

cza” z Masywu Kotonia w Beskidzie Makowskim (okolice Pcimia i Zawadki) ujawniły, że „Filemon” powędrował w rejony położone około 30 km na północny zachód od GPN. Nagrał się tam na fotopułapkę. Obecność obroży i układ plam wskazywały, że to jest „Filomen”. Pod koniec października 2021 roku, po blisko półrocznej nieobecności, znowu zarejestrowała go fotopułapka pod Turbaczem. Zarejestrowała go z obrozą, ale niestety już nie wysyłającą sygnałów; ani GSM ani też radiowego. Obroża ta, zgodnie z zapewnieniem producentów, powinna się rozpiąć 17 grudnia 2021 roku. Czekaliśmy na ten dzień razem z kolegami ze Słowacji, mając nadzieję, że urządzenia elektroniczne na obroży włączą i wyślą ostatni sygnał alarmowy, informując o jej lokalizacji. Niestety taki sygnał nie został wyemitowany, a zamiast tego kilka dni później „Filomen” nagrał się z ... obrożą na szyi. Był to dowód na to, że automat rozpięcia nie zadziałał i ryś nadal będzie ją nosił. Stanowiła ona nadal wartościowy przedmiot ponieważ w jej wewnętrznej pamięci zdeponowana jest historia

wędrówki „Filomena”. Dlatego GPN po konsultacjach ze specjalistami zdecydował się na odłowienie rysia i zdjęcie obroży. Powrót zaobrożowanego rysia do GPN zrodził taką nadzieję i po uzyskaniu stosownych zezwoleń na odłowienie w jednym z często odwiedzanych przez tego osobnika miejsc w GPN stanęła klatka przywieziona przez kolegów ze słowackiego CHKO Horna Orava. Jednak „Filomen” na przekór naszym oczekiwaniom znowu opuścił Gorce. Ostatnie nagranie zrealizowało Nadleśnictwo Nowy Targ w dolinie Lepietnicy 19 maja 2022 roku. Gdzie przebywa nasz bohater z cennym bagażem na szyi? Czy jeszcze żyje? Czy nosi jeszcze obrożę?

W monitorowanie rysia „Filomena” zaangażowane były głównie cztery instytucje. Na pierwszym miejscu należy wymienić służby CHKO Horna Orava z Šimonem Kiertyssem na czele, które odловиły rysia, wyposażyły w obrożę telemetryczną kanadyjskiej firmy „Lottek” i pilotowały rysia, dopóki działał nadajnik GSM, a także parki narodowe na terenie polski: na początku Babiogórski PN potem Gorczański PN, Nadleśnictwa: Jeleśnia, Nowy Targ, Limanowa i koła łowieckie: „Puszcza” Niepołomice i „Sokół” Oświęcim. Budzi to pewną refleksję i nadzieję na ochronę tego wspaniałego mieszkańca naszych kniei. Można śmiało powiedzieć, że monitorowanie i ochrona rysia to nasza wspólna sprawa. Będę wdzięczny za każdą informację na temat rysia występujących na terenach obwodów, którymi Koledzy gospodarujecie. Szczególnie cenne będą zdjęcia i filmy, które ułatwią identyfikację poszczególnych osobników.



fot. 7



Jan Loch

Pracownik naukowy w Gorczańskim Parku Narodowym. Z wykształcenia leśnik; absolwent Technikum Leśnego w Brynku i Wydziału Leśnego UR w Krakowie. Prowadzi monitoring przyrodniczy w GPN ze szczególnym uwzględnieniem dużych drapieżników - rysia i wilka.



WIOSNA

RAFAŁ ŁAPIŃSKI



OGAR POLSKI

nasz narodowy skarb

Stawomir Pawlikowski



fot. autor

„Ogary poszły w las. Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym...”. Ten fragment „Popiołów” Stefana Żeromskiego zna zapewne każdy Polak. Ogar polski, bo o nim mowa, wpisał się w historię naszego kraju jednak znacznie wcześniej niż fragment dzieła naszego czołowego prozaika. Już Gall Anonim, żyjący na przełomie XI i XII wieku wspomina o psach myśliwskich spotykanych na dworach pierwszych Piastów. Jednakże pierwszy dokładny opis ogarów znajdujemy w dziele wojewody poznańskiego Jana hrabiego Ostroroga, pod tytułem „Myślistwo z ogary”, wydany w Krakowie w 1618 roku. Co prawda hrabia Ostroróg nie opisał eksterieru rasy, za to dość dokładnie przedstawił cechy użytkowe psów, jak i sposoby ich szkolenia i chowu. Jak pisał w pierwszych słowach: „Kto chce myśliwym być ze psy, naprzód trzeba mieć psy dobre, do czego dwojako przychodzimy: chowając szczenięta, abo dostawiając psów

dobrych u ludzi”. Do dzieła wojewody poznańskiego będę jeszcze w tym artykule wracał, najpierw jednak zajmę się historią ogarów, wyprzedzając owo dzieło o kilkaset lat. Specjaliści od kynologii zgodnie twierdzą, że praprzodkami ogarów były psy myśliwskie zamieszkujące przed kilku tysiącami lat Azję i Afrykę. Psy te również były używane do polowań w starożytnej Grecji i Rzymie. W Europie zachodniej zaczęły się one masowo pojawiać we wczesnym średniowieczu, przywożone przez uczestników krucjat z terenu Azji Mniejszej i północnej Afryki. Istotną rolę w tworzeniu ras psów gończych w Europie odegrały przede wszystkim przywiezione do Francji tak zwane psy św. Huberta. Od nich bowiem pochodzi większość ras psów gończych w zachodniej Europie, w tym nasze ogary. Co do źródłosłowa nazwy *ogara*, większość specjalistów w tym słowie upatruje związku z maścią tych psów. Większość

psów w typie ogara posiadało maść czarną podpalaną, zwaną w tamtych czasach *podżarą* lub, mówiąc językiem potocznym, *ogorzałą*. Ja jednak mam swoją teorię na ten temat. Podążając często swoimi europejskimi szlakami myśliwskimi, zwiedzam dużo miejsc związanych z łowiectwem. Będąc kiedyś przejazdem na Węgrzech odwiedziłem, w okolicy Budapesztu, miejscowość Hatvan, w której znajduje się muzeum łowiectwa węgierskiego. Zwiedzając poszczególne sale wystawowe natrafiłem na obraz pochodzący z XVIII wieku, a przedstawiający polowanie na zające z chartami. Okazuje się, że chart w języku węgierskim to *agár* (czyt. *ogara*). Można więc zadać sobie pytanie, czy nazwa ta przywędrowała do nas z Królestwa Węgier? Z drugiej strony *oha* to czeska nazwa wyżła. Być może więc nazwa *ogara* została przez nas zapożyczona. Związek zapewne jakiś istnieje.

Zapewne w przeszłości eksterier psów w typie ogara nie były tak ustabilizowane, jak w dzisiaj. Według opisów psy różniły się zarówno umaszczeniem, budową, jak i wielkością. Jednakże psy te miały jednakowe cechy użytkowe. Powszechnie były używane do polowań na zające i lisy, a także na dziki. Posiadały cechy użytkowe, właściwe każdemu psu gończemu. Z dużą bowiem wytrzymałością goniły zwierza po „ciepłym” tropie, głośno oszczekując. Taki specyficzny sposób „głoszenia” przez ogary zwany jest do dzisiaj „graniem”. W trakcie kształtowania się rasy wyróżniano dwa odmienne typy psów gończych - zachodnioeuropejski i wschodnioeuropejski. Do zachodnioeuropejskiego typu należały psy św. Huberta, zwane inaczej bloodhundami, a do drugiego, wschodnioeuropejskiego, gończe rosyjskie, znane pod nazwą „gończe kostromskie”. Ogar powstał prawdopodobnie w wyniku skrzyżowania psów będących potomkami psów św. Huberta, przywiezionych do nas z Francji (być może przez Węgry?), z gończymi kostromskimi. Koleje losu sprawiły, że w okresie rozbiorów Polski ogary właściwie wymarły i ich pogłowię z końcem XIX wieku ograniczało się do kilku psiarni dworskich w dobrach polskiej szlachty na Litwie i Wołyniu, czyli na północnowschodnich i wschodnich krańcach Rzeczypospolitej, znajdującej się wtedy pod zaborem. W zaborze rosyjskim nazywano je po rosyjsku „*rossko-polskaja gonczaja*”. Rozróżniano wtedy dwie odmiany tych psów. Różniły się one między sobą przede wszystkim umaszczeniem. Jedną była maść czarnej podpalanej, a druga czaprakowej. Czaprakowa charakteryzowała się tym, że na głowie, przodzie szyi, przedpiersiu, barkach, przednich łapach, podbrzuszu, udach i tylnych łapach sierść była koloru żółtego, ciemno-żółtego lub wręcz pomarańczowego. Natomiast

na karku, grzbiecie, bokach tułowia i wierzchu ogona - koloru czarnego lub, rzadziej, koloru szarego. Często zdarzały się też białe akcenty, przeważnie na przedpiersiu, końcówkach łap lub na podbrzuszu. W międzywojennej Polsce psy te myśliwi, mieszkający na Wileńszczyźnie czy na Polesiu, nazywali ogarami. W latach trzydziestych XX wieku zaniechano praktycznie prowadzenia działań czy prób odrestaurowania rasy. Jednak dzięki polskim myśliwym mieszkającym na Litwie część tych psów przetrwało II Wojnę Światową i czasy powojenne. Pod koniec lat 50-tych XX wieku, dzięki staraniom pułkownika Piotra Kartawika, zostały z terenów ówczesnego ZSRR sprowadzone do Polski pierwsze psy tego typu, a w 1966 roku oficjalnie opracowano wzorzec rasy, zatwierdzony przez FCI pod numerem 52, jako wzorzec ogara polskiego. Ponieważ na początku chów był prowadzony w oparciu o kilka osobników sprowadzonych z Wileńszczyzny, rasie poprzez chów wsobny zagrażała degeneracja. Pogłowię ogarów w roku 1983, czyli niecałe 20 lat od zatwierdzenia rasy przez FCI, wynosiło w Polsce około 150 osobników. Na chwilę obecną rasa jest w odrodzeniu i według Rodowodowej Bazy Ogara Polskiego w Polsce zarejestrowane jest prawie 4500 osobników tej rasy.

Muszę jeszcze poświęcić kilka zdań na temat eksterieru i cech użytkowych. Ogar polski to pies zaliczający się do ras średniej wielkości, o mocnej, muskularnej i ciężkiej budowie ciała. Dzięki takiej budowie jest bardzo wytrzymały, ale nie szybki. Posiada sylwetkę formatu prostokątnego, czyli długość tułowia u ogara jest nieco większa niż wysokość. Według statystyk, ale też i wzorca rasy, wysokość psa w kłębie powinna się wahać między 56 a 65 cm. Suki są nieco mniejsze, w kłębie pomiędzy 55 a 60 cm. Jeśli chodzi o wagę ogarów, to u psów waha się ona pomiędzy 25 a 32 kg, a u suk 20-25 kg. Zdarzają się jednak też osobniki dobrze zbudowane. I tak wśród psów osiągają one około 40 kg, a u suk 35 kg. Zupełnie jednak nie przeszkadza to ogarom w swobodnym i sprawnym poruszaniu się w terenie, nawet mocno zalesionym. Ogar, jako wytrawny biegacz, potrafi wspaniale balansować ciałem, w czym również pomaga mu mocny i stosunkowo długi ogon. Zarówno sprawnie przebiega pod przeszkodami, jak i nad nimi przeskakuje, nie doznając przy tym praktycznie żadnych urazów. Jak już wspominałem, w dawnych czasach ogarów używano do polowań na zające. Teraz, jak wiadomo, taki rodzaj polowania jest u nas w kraju zabroniony. Wykorzystuje się więc ogary przede wszystkim do polowań na dziki. Jako obserwator wielokrotnie podczas polowań, a także prób dzikarzy w warunkach naturalnych, miałem



fot. autor

przyjemność patrzeć na zachowania ogarów. Można rzec, poznałem język ogarzy. Ogar polski, jak większość gończych, goni zwierza po ciepłym tropie, głośno oszczekując („głosząc”) i po głosie doświadczony przewodnik, znający swoją sforę, potrafi określić, co jest przez ogary gonione. „Granie” ogara, gdy goni sarny, jest zupełnie inne niż gdy goni jelenia. Jeszcze inne, kiedy idzie za dzikiem i kiedy go osaczy. Psy mają niższy ton „grania”, a suki wyższy. Wspaniale słysząc granie całej sfory złożonej z kilku osobników.

Jeśli chodzi o dalsze elementy eksterieru, to ogary mają grzbiet mocny i gruby, ogon osadzony stosunkowo nisko, najczęściej opuszczony, ale na końcu lekko wygięty ku górze. Głowę ogar ma dość ciężką, w kształcie średniego prostokąta z długą, tępo zakończoną kufą, wyposażoną, zwłaszcza u psów, w obfite fafle (wargi). Głowa ma wyraz wyniosłości i powagi. Nos jest duży, szeroki i ciemny. Lekko skośne oczy mają barwę ciemnobrązową lub ciemnopiwną z opuszczonymi dolnymi powiekami zwłaszcza u starszych psów. Uszy są średniej długości, ale dostatecznie długie, oklapnięte, na końcach lekko zaokrąglone, przednimi brzegami zawinięte ku policzkom. Ogary polskie charakteryzują się średniej długości włosiem okrywowym z gęstym podszerstkiem. Krótsza i gładza sierść występuje na głowie, kufie, uszach i łapach, a dłuższa na karku, pośladkach i spodzie ogona. Grzbietem, od szyi do nasady ogona, często biegnie pas dłuższych włosów na wzór chybu u dzika. Umaszczenie jest czaprakowe, czerwobrazowe z czarnym znaczeniem na grzbiecie przypominającym siodło. Dopuszczalne są białe znaczenia w kształcie kwadracika lub strzałki na przedpiersiu oraz na

końcówkach łap. Jako właściciel ogara muszę przyznać, że psy tej rasy lineją zasadniczo dwa razy w roku, ale w praktyce wymiana włosów trwa przez cały rok. Jeśli chodzi o charakter i temperament to można powiedzieć, że ogar jest psem bezproblemowym. Jest spokojny i zrównoważony, łatwy w wychowaniu i układaniu. Bardzo inteligentny. Szybko się uczy i kojarzy ze sobą wiele czynności. Jest jednak przy tym uparty. Ogar, jeśli czegoś chce, to z wielkim spokojem, ale i dużą wytrwałością będzie dążył do tego, żeby to osiągnąć. Lubi ruch, ale kiedy ma go dość, potrafi wygospodarować sobie czas i znaleźć miejsce na wypoczynek. W domu jest spokojny i zrównoważony. Nie lubi jednak dużego zamieszania (odwiedzin gości, głośnej muzyki). Opuszcza wtedy w angielskim stylu towarzystwo i znajduje sobie zakątek w domu, gdzie ma spokój. Psyzymane w mieszkaniu łatwo dostosowują się do rytmu dnia rodziny. Ogar musi jednak mieć zapewnioną odpowiednią dawkę wszelkiego rodzaju aktywności. Potrafi czasem przeleżeć godzinami na sofie czy fotelu, ale gdy przyjdzie mu ochota na zabawę, wtedy w ruch idą wszelkiego rodzaju zabawki i ulubione przedmioty, którymi lubi się bawić. Nawet w młodym wieku nie robi szkód w mieszkaniu. Jednak, jeśli czegoś chce, potrafi się sam o to upomnieć. Podczas podróży psy tej rasy spisują się rewelacyjnie. W hotelu czy innym miejscu noclegowym zostają same nie robiąc hałasu. Dobrze znoszą zarówno niskie, jak i wysokie temperatury. Jednak na pewno ogary należą do łasuchów. Potrafią robić minę męczennika, jeśli czegoś ze stołu nie dostaną. Nic dziwnego. Przez wieki na dworach leżały podczas uczt pod stołami i dostawały wszelkiego rodzaju resztki ze stołu. Tak już mają. Ogary

są bardzo czujnymi psami. Zaniepokojone alarmują domowników głośnym szczekaniem. Psy te nie są agresywne w stosunku do ludzi, ale z miłością do innych psów bywa różnie. Zwłaszcza spotkanie przedstawicieli większych ras, chociażby takich jak wyżły, bywa dla nich prowokacją. W stosunku do mniejszych psów nie przejawiają agresji. Charakterystyczną cechą zestresowanego ogara jest zwisająca z kąików fafli ślina, zwana przez hodowców ogarów „glutami”. To pierwszy sygnał, że ogarowi coś nie pasuje, bądź jest zestresowany. Ogary źle znoszą rozłąkę z właścicielami i potrzebują z nimi dużo kontaktu. Uwielbiają pieszczoty. Świetnie dogadują się ze wszystkimi domownikami, także najmłodszymi. Mogą współdzielić przestrzeń z innymi zwierzętami, nawet kotami.

Wracając do użytkowości to z doświadczenia wiem, że są świetnymi tropowcami. Będąc wcześniej właścicielem posokowca bawarskiego muszę przyznać, że ogar, moim zdaniem, pracuje dużo dokładniej i stosunkowo wolno, co zwłaszcza dla ludzi w „pewnym” wieku jest zdecydowanie bardziej komfortowe. Często w tekstach sprzed stu i więcej lat czytamy o ogarach, które również wykorzystywano podczas polowań na kaczki czy bażanty. Jest to zupełnie możliwe, ponieważ są zazwyczaj dobrymi aportkami, a i przy okazji potrafią wspaniale bobrować. Ogólnie uwielbiają wodę i kontakt z nią. Potrafią godzinami biegać po kałużach, kłaść się w największym błocie, a także wchodzić do wody po samą szyję i pływać. W gruncie rzeczy jest to wspaniały pies zarówno do towarzysztwa jak i polowania. Zalety ogarów i odpowiednie postępowanie z nimi opisał wspomniany na początku wojewoda poznański Jan hrabia Ostroróg w swoim dziele „Myślistwo z ogary”: „*Myśliwiec jest*

jakoby hetman, wódz i sprawca psi, który nimi rządzić ma, i sprawować je, używając ich rozrywki i zmysłu, i mocy do słusznego szukania, prędkiego znalezienia i ugonienia zwierzęcia. Czemu, aby dosyć uczynił, trzeba żeby go psi słuchali, a to będzie kiedy go będą miłować i wierzyć mu. Żeby go tedy miłowali, ma się doma między nimi bawić, głaskać, karmić nie tylko u koryta, ale i z wacka czymkolwiek na potkaniu; co najczęściej ma się z nimi pieścić, rozmaicie grać z nimi, sypiać między nimi i wszystkich sposobów szukać, żeby go psi miłowali.”. Myślę, że ta sentencja wojewody poznańskiego jest abecadłem chowu ogarów. Jak widać, już wtedy wiedzano, że psy te potrzebują dobrego kontaktu ze swoimi przewodnikami i ta więc procentuje później podczas ich pracy.

Na zakończenie chciałbym nawiązać do znaczenia tej rasy w dorobku kulturowym naszego narodu. Temat ogarów nie tylko pojawiał się w naszej literaturze, ale również w malarstwie, muzyce i innych dziedzinach sztuki. Pamiętając czasy PRL ogar również kojarzy się z motorowerem marki Romet, wyposażonym w silnik Javy, będącym w tamtych czasach marzeniem nastolatków. Jako hodowca ogara mogę z czystym sumieniem zapewnić, że decydując się na kupno psa tej rasy nie będziecie żałować tej decyzji.

Darz Bór –



Sławomir Pawlikowski - pomysłodawca i współzałożyciel Klubu Wabiarzy Zwierzyny PZŁ. Właściciel biura polowań Pawlikowski Hunting Travel. Autor wielu publikacji w prasie łowieckiej oraz rozdziału poświęconego sztuce wabienia w „Wielkim atlasie łowiectwa”. Wielokrotny uczestnik programów TV „Darz Bór”.



Pierwsi mierniczowie CIC w Polsce



25 sierpnia br. w siedzibie Zarządu Głównego PZŁ rozpoczął się cykl szkoleń z wyceny medalowej trofeów wg standardów - formuły CIC (*The International Council for Game and Wildlife Conservation*). Organizacją szkolenia zajął się Zarząd Główny, przy merytorycznym wsparciu prof. Romana Dziedzica (Senior Trophy Judge – STJ).

Po ukończeniu dwudniowego szkolenia oraz pozytywnym złożeniu egzaminu kursanci otrzymali tytuł certyfikowanego mierniczego CIC (CCM).

Kurs odbywał się w 4 grupach. Pierwsze dwie grupy uczestniczyły w szkoleniu pod koniec

sierpnia (25-26.08, 27-28.08), a dwie kolejne w październiku (18-19.10, 20- 21.10). W dwóch pierwszych edycjach szkolenie prowadzili: Miroslav Vach (STJ), Josef Feuereisel (STJ), Roman Dziedzic (STJ) oraz Anett Turóczy (Conservation Officer – pracownik CIC). Z kolei w trakcie kursów październikowych uczestnicy szlifowali swe umiejętności miernicze pod czujnym okiem zespołu w składzie: Roman Dziedzic, Tony Dalby-Welsh (STJ), Iain Watson (STJ) oraz Arno Wimpffena (CO - pracownik CIC).

Wykłady prowadzone były w głównej mierze w języku angielskim za wyjątkiem szkolenia

z zakresu wyceny urożeń żubra oraz rosoch łosia, które prowadził prof. Roman Dziedzic w języku polskim. W trakcie szkolenia kursanci otrzymali podręczniki CIC na podstawie, których wyceniane są poszczególne trofea i w oparciu o które prowadzone było szkolenie.

W celu uzyskania uprawnienia certyfikowanego mierniczego CIC (CCM) każdy z kursantów musiał wykazać się praktycznymi umiejętnościami w zakresie wyceny medalowej poszczególnych gatunków zwierząt łownych i chronionych. Egzamin polegał na dokonaniu wyceny dwóch trofeów z każdego gatunku i przedstawieniu komisji, składającej się z STJ, kart wyceny w celu ich weryfikacji.

Z ramienia Zarządu Okręgowego PZŁ w Krakowie na szkolenie skierowani zostali członkowie tutejszej komisji wyceny trofeów łowieckich - Stanisław Gąsienica, Władysław Ziębiński oraz Mateusz Dudzik, pod egidą jej przewodniczącego Marka Wajdzika. Nasi delegowani, nie mając żadnych problemów ze złożeniem egzaminu, pod koniec drugiego dnia kursu odebrali z rąk komisji certyfikaty potwierdzające pozytywne ukończenie szkolenia oraz legitymacje CCM uprawniające do wyceny trofeów: żubra, łosia, jelenia szlachetnego, daniela, sarny, dzika, muflona, bobra oraz czaszek drapieżników.

Każdy nowy mierniczy (CCM) otrzymał dostęp do Platformy CIC TED, dzięki której ma wgląd do bieżących zmian w kartach i sposobach wyceny oraz możliwość wprowadzania ewaluowanych trofeów do międzynarodowej bazy CIC. W sumie w trakcie czterech edycji uprawnienia mierniczych uzyskało prawie 100 osób.



Mateusz Dudzik
Łowczy K.Ł. „Grodzisko” w Raciechowicach, Członek Komisji Oceny Prawidłowości Odstrzału, Członek Komisji Wyceny Trofeów Łowieckich, Członek Zespołu ds. Kół Łowieckich.



Album „Z wyzłami przez Europę” Autor: Zbigniew Ciemniowski

Na 204 stronach tekstu oraz na setkach zdjęć autor opowiada o swojej kynologicznej i łowieckiej pasji, ale przede wszystkim, o polowaniu z wyzłami na ptaństwo od surowej górskiej tundry północnej Szwecji poprzez polskie, białoruskie i ukraińskie łowiska, po naddunajskie równiny Rumunii.

Album o wymiarach 245x335 mm, luksusowo wydany, opatrzone jest dodatkowo wspaniałymi grafikami. Dostępne są też e-booki w polskiej i rosyjskiej wersji językowej (Virtualo.pl).



Dr hab. n. med. Zbigniew Ciemniowski –

lekarz kardiolog, nauczyciel akademicki, myśliwy z pięćdziesięcioletnim stażem, autor licznych artykułów o łowiectwie i kynologii („Gwarectwo Myśliwych”, Magazyn „SEZON”, „Brać Łowiecka”, „Łowiec Polski”, „Myśliwiec” krakowski) oraz na osobistym blogu www.psymoje.pl. Miłośnik polowania z wyzłem, hodowca psów myśliwskich (hodowla „ze Skolnitego”), założyciel Klubu Wyzłów przy Polskim Związku Łowieckim.

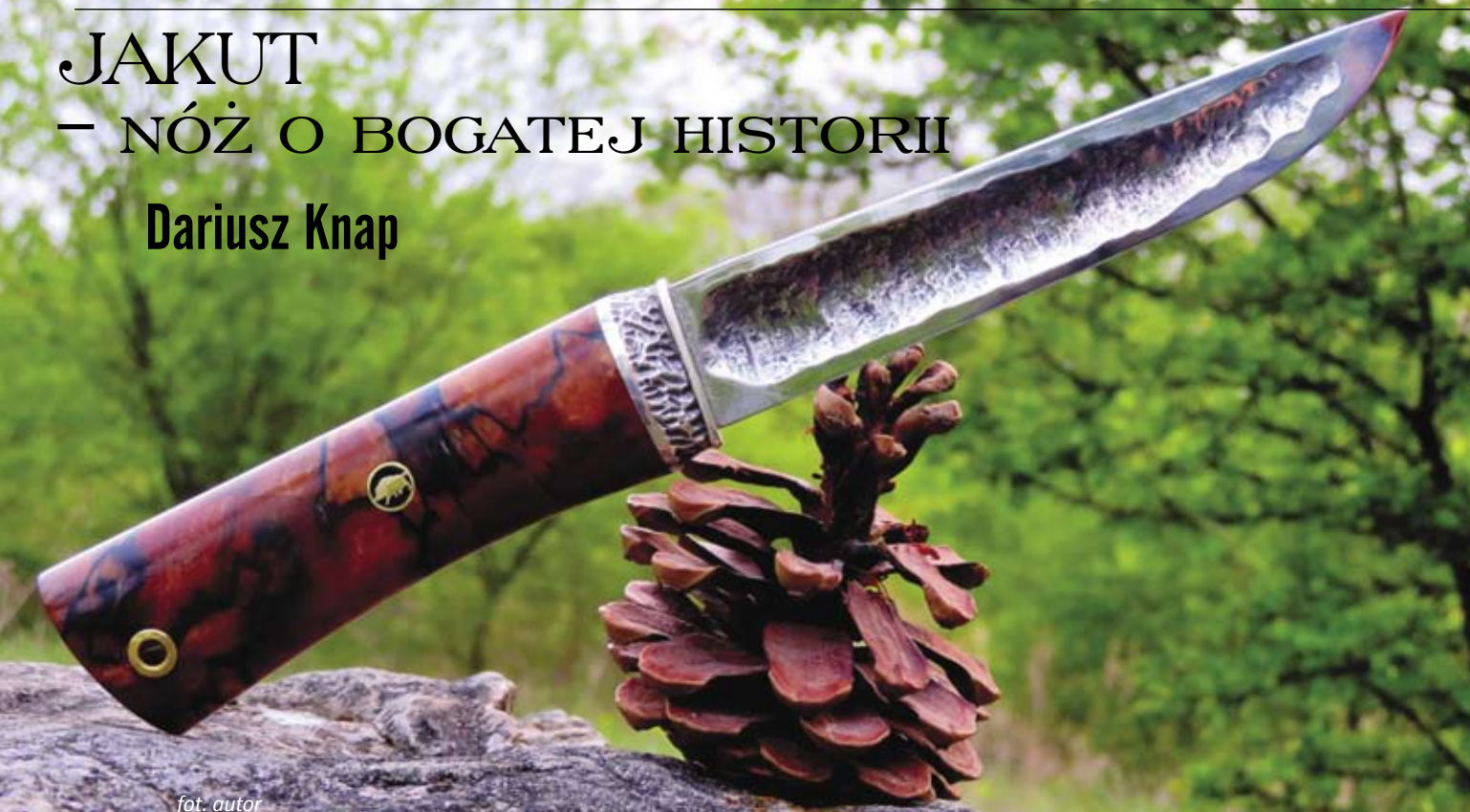
Zamówienie można składać drogą mailową przez skrzynkę z.ciemniowski@psymoje.pl

Zamówienie musi zawierać: imię i nazwisko zamawiającego, adres mailowy, numer telefonu kontaktowego dla kuriera, miejsce dostawy/dane paczkomatu InPost, informację o potrzebnej fakturze/dane do faktury
Przedpłata na konto
mBank 32 1140 2004 0000 3302 6841 7070
Cena albumu to 120,00 PLN (brutto)

JAKUT

– NÓŻ O BOGATEJ HISTORII

Dariusz Knap



fat. autor

Jakucja (Republika Sacha, dawniej także Republika Jakucka) to republika wchodząca w skład Federacji Rosyjskiej (od roku 2000), położona w Dalekowschodnim Okręgu Federalnym, geograficznie stanowiąca wschodnią część Syberii. Według spisu powszechnego w roku 2010 w Rosji żyło 478 tys. Jakutów. Ich przodkowie przywędrowali do Jakucji w XII-XIV wieku w kilku falach z okolic jeziora Bajkał.

Republika Jakucka jest największą pod względem powierzchni jednostką podziału terytorialnego na świecie. Większość jej terytorium, z wyjątkiem części południowo-zachodniej, pokryta jest wieczną zmarzliną. W Jakucji znajduje się najzimniejsze zamieszkane miejsce - wioska Tomtor. Temperatura w styczniu 2004 spadła tam do -72,2° Celsjusza.

Główną gałęzią przemysłu Jakucji jest wydobywanie diamentów. Obecnie na Jakucję przypada około ich światowej produkcji. Oprócz diamentów prowadzi się wydobywanie złota (w 2015 r. 25 ton). W 2012 roku wydobyto tu 13,4 miliona ton węgla. Oprócz tego Sacha posiada ogromne zapasy ropy naftowej i gazu ziemnego. Republika cechuje się bardzo gęstą siecią rzeczną. Lasy w Jakucji najczęściej tworzą modrzewie, brzozy i sosny. Na faunę składają się przede wszystkim: wiewiórki, łasice syberyjskie, gronostaje, zające, lisy, niedźwiedzie, rosomaki, łosie, dzikie renifery i piżmowce syberyjskie. Wody obfitują w ryby, tym ekstremalnym

środowisku Jakuci opracowali własny sposób życia. Chociaż w części południowej dokonano pewnej modernizacji, znaczna część północnego regionu jest nadal bardzo tradycyjna - z pasterzami reniferów, rybakami i myśliwymi na pół koczownikami. tej ciągłej walce o przetrwanie narodził się nóż jakucki.

Historia hutnictwa, wytopu metali przez Jakutów nie jest nam dobrze znana. Nie zostawili oni żadnej dokumentacji, ponieważ historycznie nie mieli języka pisanego. Wiemy jedynie, że stosowali stale miękkie, tak by nóż można było naostrzyć w każdych warunkach, np. na polnym kamieniu. Budowa głowni czyni nóż wyróżnikiem tradycyjnym poprzez jej nietypowy na skalę światową kształt. Jedynie Jakuci stosowali budowę głowni opartą na niesymetryczności, gdzie z prawej strony znajduje się duże zbrocze wykonane metodą wkucia i rozciągnięcia materiału stanowiące część wkłęsłą, natomiast po drugiej stronie część wypukłą - soczewkę, która powstaje na skutek rozciągnięcia i wkucia strony przeciwnej. Zmiana stron następuje, gdy użytkownik jest leworęczny, co czyni nóż drugim na świecie, zaraz obok niektórych noży japońskich, specjalnie dostosowanym do potrzeb mańkutów.

Jakuci najczęściej wykuwali 3 rodzaje głowni. Głownie małe, około 80 mm, przeznaczone na noże dla dzieci i kobiet. Głownie standardowe, od 110 do 170 mm, z przeznaczeniem na noże co-

dziennego użytku oraz głównie duże, około 300 mm, które służyły jako broń. W rodzinach jakuckich dziecko dostawało nóż już od piątego roku życia. Matki nie obawiały się, że chłopiec się zrani. Pierwsza krew i małe cięcie uczyły dziecko bycia ostrożnym, schludnym i dlatego racjonalnym. Mężczyzna, według filozofii Jakutów, powinien mieć kilka noży: do celów domowych, do obróbki drewna i do polowań. Podczas uroczystości nosili elegancki nóż, który podkreślał status ich właściciela. W zwykłe dni nóż ten wisiał nad łóżkiem. Żaden z domowników nie miał prawa go dotykać. Odziedziczał go najstarszy z synów.

Jakuci wykuwali dwa typy głowni - tundrę i tajgę. Ostrza te różnią się szerokością. Tundra była ostrzem wąskim, najczęściej służącym do cięcia lub wiercenia, tajga natomiast, to ostrze szerokie, służące do oprawy zdobyczy i obróbki drewna. Badacze na całym świecie głowią się nad sensem istnienia charakterystycznego elementu na głowni jakuckiej, czyli zbrocza. Dziś nawet sami Jakuci nie wiedzą jaki jest jego sens, ponieważ, tak jak wspomniałem wcześniej, nie dokumentowali swoich myśli, dokonań i rozwiązań technologicznych. Powstało za to wiele teorii, niektóre są poparte faktami inne nie.

Zacznijmy od historii. Bardzo dawno temu Jakuci wykonywali noże rytualne z kości. Po rozłupaniu kości z jednej strony mamy zbroczę, z drugiej soczewkę. I tak miała narodzić się tradycja. Inna koncepcja zakłada, że z uwagi na małą ilość stali głownia musiała być mocno rozklepywana, co z czasem wytworzyło zbrocze. Ostatnia teoria mówi o tym, że nóż trzeba było odchudzić, by nie tonął. Według mnie najbardziej sensowne jest przypuszczenie, które zakłada, że kształt ostrza miał sprawiać, by nóż przechodził płytko po materiale ciętym, np. po zamrożonym mięsie, a nie zagłębiał się w nim.

Przejdźmy teraz do rękojeści. Gdy jakucki kowal wykuł już głownię, zapewne również jakoś ją hartował, ale nie mamy na to potwierdzenia. Obróbka głowni odbywała się pilnikiem lub kamieniem. Noże te nie były, jak dzisiaj wygłaskane, wypolerowane. Przede wszystkim były narzędziem pracy. Gdy kowal skończył głownię, przechodził do jej oprawy. Rdzenni Jakuci najczęściej oprawiali noże w czeczotę brzożową lub jej korę i nasączali olejami, by zachowała odporność na wodę. Kowal wiercił w klocku otwór, wkładał trzpień i zakleszczał głownię w rękojeści dwoma klinami zrobionymi z drewna sosnowego. Jakuci nie stosowali kleju, ponieważ ostrza zmieniało się częściej niż rękojeści, gdyż ostrza te były miękkie. Dlatego też montaż głowni odbywał się tylko na kliny sosnowe. Gdy głownia się zużyła, to ją wymieniano. Po zamontowaniu ostrza, rękojeść obrabiana była innym nożem, siekierką, a wykańczana pilnikiem. Ostrzenie

noża jakuckiego odbywało się tylko po jednej stronie ostrza - wypukłej. Jedynie zebranie „włosa”, który tworzył się podczas ostrzenia, odbywało się po stronie płaskiej.

Każdy nóż jakucki powinien mieć odpowiednią pochewkę. W tym celu kowal brał dwie deseczki brzożowe i rzeźbił je tak, by ostrze noża mogło swobodnie wejść między nie. Miało to ochronić ostrze przed złamaniem. Na przygotowane deseczki kowal naciągał wymoczoną skórę z ogona wołowego, która podczas zasychania wszystko usztywniała. Nóż wchodził w pochwę na 2/3 głębokości (skóra zakleszczała i trzymała go w pochwie). Pochwa wisiała na skórzanym rzemieniu luźno przywiązanym do paska po lewej stronie ciała dla osób praworęcznych. Całość była woskowana. Nóż ten dawniej był przede wszystkim narzędziem, ale niektóre egzemplarze zdobiono np. srebrem, a głównie wykonywano ze stali damasceńskiej. Takie noże służyły tylko jako ozdoba.

Jak wykonuje się noże jakuckie dzisiaj? Oczywiście, ilu mistrzów tyle technik, stylów, rodzajów materiału itp. Dziś do wykonania noży jakuckich możemy wykorzystać każdą stal, która przyjdzie nam na myśl, od sprężynowych po wysokostopowe, proszkowe, czy stal damasceńską. Noże Jakuckie w obecnych czasach mają już klingi montowane z rękojeścią na stałe (bez użycia drewnianych klinów), a do ich wytworzenia służą dziś bardziej wyszukane materiały. Bardzo ważną cechą współczesnych noży jest estetyka. Dawnej miało to marginalne znaczenie. Noże Jakutów fascynują nas do dzisiaj swoją historią, oryginalnym kształtem i niepowtarzalnym klimatem. Używane od setek lat w Jakucji przez nomadów północy żyjących z myślistwa, rybołówstwa i hodowli. Ten nóż jest niezaprzeczalnym przyjacielem podczas polowań i połowów. Jakuci często nazywają go trzecią ręką. Myślą, że lepiej stracić broń, niż zostać bez noża. Polecam miłośnikom rękodziela nożowego, myślistwa i bushcraftu ten nóż z historią.

Z myśliwskim „Darz Bór”



Dariusz Knap

Członek Komisji Edukacji NRŁ, prezes Oddziału Chęcińskiego Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ, edukator łowiecki, kronikarz, autor wielu artykułów o tematyce łowieckiej, twórca rzemiosła artystycznego o tematyce myśliwskiej.



Zabijam, *więc jestem*

Zbigniew Ciemniewski



fot. Rafał Łapiński

Ostatnie tygodnie dyskusji o nowelizacji prawa łowieckiego w Polsce ujawniły dramatycznie niską jakość wiedzy społeczeństwa o świecie w którym żyjemy, o środowisku przyrodniczym, o łowiectwie, a wreszcie, pokazały powierzchowność mechanizmów stanowienia prawa. Czas miniony pozwolił zmierzyć jakość, o której wyżej, na poziomie szerokiego kręgu widzów, słuchaczy i czytelników różnych środków masowego przekazu, na poziomie tzw. środowisk ochroniarskich, na poziomie szerokiego kręgu myśliwych, w tym, a może głównie, zarządzających Polskim Związkiem Łowieckim. Wreszcie na poziomie polityków i wszystkich,

którzy w ten, czy inny sposób, brali udział w debacie.

W czasie zmagania o kształt prawa pojawiło się bardzo wiele wątków, które aż proszą się o podjęcie, ale ponieważ nie można o wszystkim na raz, zaczynam od spraw naprawdę fundamentalnych.

Przez wszelkiego typu media, ale głównie przez różne fora internetowe, przewalała się ostatnio fala hejtu antyłowieckiego, który na swoich sztandarach miał wypisane jedno nośne hasło – „mordercy!!” Ujawniły się też różnego rodzaju kanapowe stowarzyszenia, osoby prywatne, w tym osoby powszechnie znane, które

przygotowania obiadu. Kiedyś, słowo „świnio-bicie” znaczyło, że z chlewika zniknie jeden wieprzek, ale za to na kuchennym stole pojawią się pyszne kielbasy i inne wyroby oznaczające przyjemny czas sytości. W tamtych czasach każdy wiedział, że śmierć zwierzęcia jest warunkiem naszej sytości, warunkiem i elementem naszego życia i naszej codzienności. Czy dzisiaj jest inaczej? Nie – no może trochę inaczej. Zamiast pieńka za domem i rzeźnika z sąsiedztwa mamy zamknięte zakłady, gdzie śmierć zadaje się tysiącom, dziesiątkom tysięcy, a w skali całej Ziemi prawie miliardowi zwierząt rocznie. Czym jest krótki lęk kurczaka z mojej młodości, wobec dramatu tysięcy zwierząt oczekujących na śmierć przez cały okres transportu i trwania w przedśionkach piekieł, którymi zawsze są masowe ubojnie? Jedyne, co zmieniło się w ostatnich dziesięcioleciach, to praktyczna świadomość tego, co się dzieje ze zwierzętami hodowanymi. Ten spadek świadomości, a może bardziej wyparcie ze świadomości przykrej rzeczywistości, buduje elektorat pseudoekologom. Ktoś powie – takie argumenty już wielokrotnie padały. Wszyscy o tym wiemy. Czy na pewno wszyscy? Dobrze – te kilka zdań proszę więc potraktować jedynie jako wstęp.

Tak się składa, że jestem lekarzem. Pracuję w zawodzie już dziesiątki lat i niemalą część tego czasu poświęciłem zabijaniu. Zabijałem bakterie, pasożyty i inne stworzenia zagrażające moim pacjentom. Jako hodowca psów zabijałem i ciągle zabijam kleszcze, pchły, pasożyty przewodu pokarmowego moich pupili. Czy jestem mordercą? Czy komuś przyjdzie do głowy, że zabicie tasiemca, szczura, myszy, karalucha i temu podobnego stworzenia jest czynem haniebnym? Zabijamy, by przetrwać, zabijamy, gdyż w przeciwnym razie sami zginieemy.

Popatrzmy na problem jeszcze szerzej. Ludność Ziemi osiągnęła liczebność 500 milionów około roku 1500 n.e., miliard przekroczyła około 1820, 6 miliardów około 2000, a około 2043 dojdzie prawdopodobnie do 9 miliardów. Jak to się stało? Jak to było możliwe? Odpowiedź jest prosta. Wycięliśmy lasy, a tereny po nich zmieniliśmy w uprawne pola. Przy okazji wybiliśmy miliony zwierząt, a ich przestrzeń życiową wypełniliśmy zwierzętami hodowanymi. Chroniąc nasze stada wybiliśmy kolejne miliony drapieżników czy po prostu zlikwidowaliśmy zagrożenie dla naszych stad. Jesteśmy najsukuteczniejszymi i najgroźniejszymi drapieżnikami na Ziemi i nie udawajmy, że jest inaczej. Haniebne jest nie to, że realizujemy nasze drapieżnictwo, tylko to, w jaki sposób to robimy.

Patrzmy dalej. Ciągłe przybywa ludzi i tym samym zmniejsza się powierzchnia pól uprawnych przypadająca na jednego człowieka. Ko-

radośnie włączyły się w ten wszechogarniający jazgot. Przestrzeń publiczną wypełnił aroganci, asemantyczny bełkot, wśród którego trudno było doszukać się choćby strzępów argumentów merytorycznych. Po głosowaniach w sejmie emocje nieco opadły i czas rozejrzeć się po poboju. Jak to jest z tymi myśliwymi – „mordercami”? Jak to jest z zabijaniem?

Garść obrazów i faktów. Kiedyś każde dziecko wiedziało, że jak mama będzie chciała ugotować niedzielny rosół, to trzeba wybrać tłustą kure i na pieńku za domem pozbawić ją głowy. Potem trzeba było tuszkę oskubać, wypatroszyć i na końcu tej drogi włączyć w proces

lejne fakty – dla wyżywienia jednego człowieka dysponowaliśmy w 1962 r. powierzchnią 1,44 ha, w 2002 – 0,81 ha, dzisiaj jeszcze mniejszą. Trzeba było zwiększyć produktywność niepowiększających się przecież rolniczych arealów. W 1840 roku wprowadzono sztuczne nawożenie, które z wielokrotnością plony. Obecnie wypujemy na światowe pola i łąki około 170 milionów ton nawozów w czystym składniku rocznie. Niestety, to było zaledwie preludium nowego etapu naszej presji na środowisko przyrodnicze. W tym miejscu mała dygresja – nie używamy ulubionego określenia zielonych – „środowisko naturalne”. Resztki naturalności pozostały gdzieś, gdzie nie dotarli ludzie ze swoimi osiedlami, nawozami i wszystkim tym, czym przekształcają otoczenie przyrodnicze. W świecie, w którym żyjemy, nie ma środowiska naturalnego, nie działają też naturalne mechanizmy regulacyjne lub ich działanie nie może skutecznie przeciwdziałać skutkom naszej presji.

Dla zwiększenia produktywności ziemi rolnej doprowadziliśmy do komasacji gruntów, wprowadziliśmy, na nie spotykaną wcześniej skalę, mechanizację prac polowych, ale przede wszystkim zalaliśmy nasze pola chemicznymi środkami ochrony roślin. W Polsce wylewa się na pola, łąki i sady rocznie około 65 tysięcy ton (65 milionów kilogramów) substancji chemicznych niszczących niepożądane dla produktywności naszych upraw rośliny i zwierzęta. Na liście niepożądanych gatunków znajduje się około 65 tysięcy pozycji!! W skali Europy i świata ilość chemicznych środków ochrony upraw idzie w miliony ton rocznie! Ginią nie tylko stworzenia bezpośrednio poddane chemicznej eksterminacji, ginie cały świat, którego nasze ofiary są nieodłączną częścią. Pod kosiarkami, na milionach hektarów łąk całego świata giną kolejne miliardy stworzeń. Można by jeszcze taką wyliczankę ciągnąć dalej.

Skąd więc atak na myśliwych, którzy w Polsce są ustawowo zobowiązani do udziału w zarządzaniu środowiskiem przyrodniczym? Zapisy ustawowe wyraźnie wskazują, że nasze zadanie polega na takim zarządzaniu zasobami przyrodniczymi, aby zachować ich różnorodność i pozwolić przekazać je kolejnym pokoleniom. Polski model łowiectwa nie jest formą organizacyjną wykonywania planów odstrzału. Polski model łowiectwa jest formułą włączenia w zarządzanie środowiskiem możliwie szerokiego kręgu ludzi.

Dlaczego więc zielone organizacje uczyniły sobie z nas cel ataku? Dlaczego nie walczą z opisanymi wyżej skutkami zmian w gospodarce rolnej? Dlaczego nie postrzegają nas jako partnera w realizacji deklarowanych przez siebie celów strategicznych?

Nie ma zapewne łatwej odpowiedzi, ale dla mnie spór ma charakter fundamentalny i do tego wyraźnie podszyty pieniędzmi. Jesteśmy największą pozarządową organizacją zajmującą się zarządzaniem środowiskiem. Mamy stabilne, zdyscyplinowane kadry, mamy potencjał finansowy i organizacyjny, którego nie mają stowarzyszenia ekologiczne, o głównie kanapowym przecież charakterze. Jesteśmy konkurencją! Jesteśmy konkurencją w dostępie do wielkich zasobów każdej społeczności przeznaczanych na zarządzanie środowiskiem. Jesteśmy też nośnikiem tradycyjnego, a nie lewackiego i w istocie destrukcyjnego widzenia rzeczywistości.

Dlaczego więc daliśmy się ogrzać przeciwnikowi? Odpowiedź jest prosta – zapomnieliśmy o prawdziwym wymiarze zadania, przed którym stoi łowiectwo. Daliśmy sobie wmówić ustami nieudolnych zarządców Polskiego Związku Łowieckiego, że naszym jedynym zadaniem jest wykonywanie odstrzału, że polujemy dla mięsa, że stoją za nami mityczne wieki kultury łowieckiej, której jesteśmy wspaniałymi kontynuatorami. Jednym słowem uznaliśmy, że jesteśmy wielcy i wspaniali, a na naszym czele stoją ludzie, którzy zapewnią nam trwanie naszego świata, niezależnie od tego, jak pracujemy, co wiemy i w jaki sposób budujemy o sobie przekaz. Pozwoliliśmy, aby oderwało nas od korzeni zadania, które mamy realizować. Efekty znamy.



Zbigniew Ciemniowski
dr hab. n. med., kardiolog, myśliwy z prawie 50-letnim stażem, autor licznych artykułów o łowiectwie w Gwarectwie Myśliwych, Braci Łowieckiej i Łowcu Polskim oraz na stronie www.psymoje.pl, miłośnik polowania z wyżłem, hodowca – hodowla „ze Skolnitégo”, założyciel Klubu Wyżłów przy Polskim Związku Łowieckim

pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

czytaj za darmo:

www.wroclaw.pzlow.pl/magazyn-pasje

BRUNO KONCZAKOWSKI

Waldemar Smolski

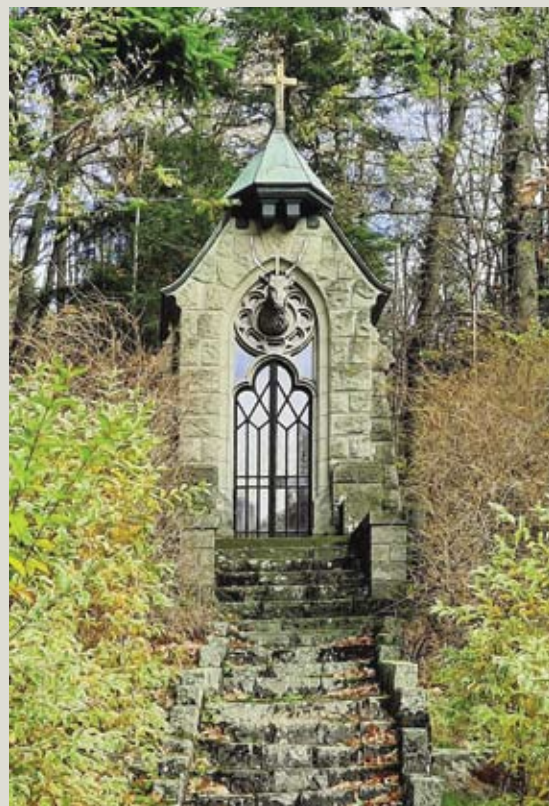


Artykuł ten dedykuję jednemu z największych polskich kolekcjonerów, Bogdanowi Kowalczemu, naszemu koledze redakcyjnemu.

Dwa lata temu, w listopadzie pojechałem do Brennej niedaleko Cieszyna, do znajdującego się w tej miejscowości dworku myśliwskiego tzw. „Konczakówki”. Byłem tam umówiony z panią kierowniczką dworku celem przekazania na jej ręce pamiątek, jakie były w moim posiadaniu po Karolu Ludwiku Ringu, który w latach 1945-1951 był pierwszym powojennym nadleśniczym Nadleśnictwa Brenna. Siedzibę nadleśnictwa ulokowano w okazałej przepięknej willi myśliwskiej Brunona Konczakowskiego, znanego przed wojną myśliwego i kolekcjonera. Ponad 90 lat temu cieszyński kupiec, podróżnik, kolekcjoner i myśliwy wynajął grupę miejscowych górali-cieśli i zlecił im budowę okazałego dworku. Specjalnie na ten cel sprowadzono drewno limbowe i modrzewiowe z górskich regionów Austrii. Piętrowy dworek stanął w głębokim lesie na południowym stoku góry Czupel w przysiółku Głębiec we wsi Brenna. Miejsce na dworek zostało wybrane nieprzypadkowo. Cieszyński kupiec lubił polowania,

w których brał często udział lub sam je organizował. Podczas jednego z nich odkrył na zboczu góry Czupel okazałą polanę. Stała tam stara góralska chałupa. Miejsce to z przepięknym widokiem na dolinę rzeki Brennicy tak go urzekło, że wykupił cały teren. Chałupę nakazał rozebrać i zlecił zaprojektowanie, a następnie wybudowanie przez wynajętych cieśli dworu myśliwskiego w stylu tyrolskim.

Góralscy cieśle łączyli belki bez użycia gwoździ, na tzw. zacios. Co ciekawe, Bruno Konczakowski, bo to on jest bohaterem tego artykułu, jak i jego ojciec zbili fortunę na handlu artykułami żelaznymi, w tym gwoździami. Budowę ukończono w 1924 roku. Dwór z wysokim poddaszem stanął na kamiennej podmurówce z głębokim podpiwniczeniem, a trójkątne szczyty, znajdujące się na zewnątrz, ozdobione zostały porożami jeleni. Uwagę przykuwają rzeźbione obramowania i ozdobne okiennice oraz duży taras i znajdujące się pod nim balkony z drewnianą galerią. Obok dworku stoi murowana kaplica, do



budowy której użyto miejscowego piaskowca godulskiego. Do kaplicy prowadzą kamienne stopnie. W środku znajduje się witraż z kolorowego szkła z wizerunkiem naszego patrona św. Huberta, który został wykonany w słynnej pracowni witraży Żeleńskiego z Krakowa. Kaplicę poświęcił kardynał Adam Sapieha.

Lasy Beskidu Śląskiego, bogate w zwierzynę i ptactwo, głównie w głuszcze, w XIX i XX wieku były jednymi z najlepszych terenów łowieckich.

Przepięknie położony dworek myśliwski B. Konczakowskiego przyciągał myśliwych. Na polowania do Brennej, na zaproszenie Konczakowskiego, przyjeżdżał sam Prezydent RP prof. Ignacy Mościcki, który dość regularnie polował w lasach Śląska Cieszyńskiego. Często też na tych polowaniach bywał Wojciech Kossak, właściciel dworku w sąsiednich Górkach Wielkich oraz liczne grono wybitnych ówczesznie myśliwych.

Duże wrażenie na mnie zrobiło wnętrze drewnianego dworku, zaprojektowane osobiście i wyposażone w stylowe meble przez Brunona Konczakowskiego. Dawniej wewnątrz dworku znajdowały się bogate zbiory myśliwskie, broń, obrazy oraz poroża i inne trofea myśliwskie, których tylko niewielka część dotrwała do dnia dzisiejszego. Spora część z tej kolekcji trafiła do zbiorów na Wawelu, między innymi większość słynnych strzelb myśliwskich tzw. cieszyнки,

a niektóre przedmioty w tym: cztery sztuki „cieszynek” trafiło do zbiorów Muzeum Śląska w Cieszynie. Pięknym elementem w jadalni dworku jest secesyjny piec kaflowy wykonany z zielonych kafli oraz żyrandol z papirusowym abażurem z namalowanymi scenami myśliwskimi, a obok, w mniejszym saloniku, znajdujemy najcenniejsze eksponaty m. innymi: oszczepy na niedźwiedzie, szafę na broń oraz zabytkowy kordelas. Na drewnianej limbowej boazerii, którą pokryta jest ściana, wiszą trofea myśliwskie, w tym medalion dzika z 1913 roku, mocny wieniec jelenia oraz głuszcę upolowaną w Wiśle w 1927 roku. Dominują poroża kozłów, których jest ponad dwieście oraz liczne rysunki i obrazki ze scenami z polowań. W czasie okupacji w dworku mieściła się placówka niemieckiej Abwehry. Prawdopodobnie był tam i dowódca lotnictwa niemieckiego, łowczy III Rzeszy – Herman Goering. Po wojnie przez parę miesięcy w dworku rezydował wywiad sowiecki. Następnie dworek znalazł się w zarządzie Lasów Państwowych, który ulokował tam siedzibę Nadleśnictwa Brenna. W następnych latach PRL-u dworek służył jako ośrodek rządowy. Wówczas był bezkarnie rozkradany. Wiele cennych elementów wyposażenia zostało wywiezionych i już nigdy do dworku nie powróciło. Od 1989 roku obiekt stanowi własność Lasów Państwowych i pełni rolę ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego Nadleśnictwa Ustroń.

Kim był właściciel tego przepięknego dworku myśliwskiego – Bruno Konczakowski? Brunon (Bruno) Konczakowski urodził się w Cieszynie 27 maja 1881 r. jako syn Józefa i Emilii z Drobików, potomek polskiej rodziny wywodzącej się z Galicji. Jego ojciec, Józef (1851-1909), w połowie XIX wieku przeniósł się do Cieszyna, gdzie w 1878 roku założył firmę handlującą artykułami żelaznymi, na





J. Konczakowski, k. u. k. Hoflieferant, Teschen, Öst.-Schles.

których szybko dorobił się sporego majątku.

Po ukończeniu szkół w Cieszynie Bruno kontynuował naukę w renomowanej wiedeńskiej szkole handlowej Maxa Allina. Właśnie w Wiedniu w roku 1898 nabył do swojej przyszłej kolekcji pierwszy, pochodzący z czasów napoleońskich, egzemplarz starej broni – pistolet znanej firmy „L. Serwais”. Po ukończeniu wiedeńskiej szkoły pomagał ojcu prowadzić rodzinny sklep, a po jego śmierci w 1909 r. przejął rodzinną firmę handlową, którą rozbudował i prowadził samodzielnie aż do przymusowego zamknięcia w roku 1950. Za osiągnięcia handlowe otrzymał tytuł cesarsko-królewskiego dostawcy dworu. Życie dzielił pomiędzy pracę zarobkową, a swoją pasją kolekcjonerską i polowaniami. Stale powiększał swoje zbiory kolekcjonerskie milita-

riów, ceramiki, starych mebli, zegarów i obrazów. Ekspozaty nabywał w najbardziej renomowanych europejskich antykwariatach i na aukcjach. W krótkim czasie Brunon Konczakowski stał się jednym z najbardziej znanych kolekcjonerów ówczesnej Europy.

Po pierwszej wojnie, już w odrodzonej Rzeczypospolitej, swoją kolekcję znacznie powiększył. Kupował ekspozaty ze zbiorów cesarskich, jak i podupadających dworów szlacheckich. W swojej kamienicy przy cieszyńskim rynku utworzył stałą ekspozycję wybranych eksponatów ze swojej, już wówczas olbrzymiej, kolekcji.

Odbывał liczne podróże po Europie, zarówno w sprawach handlowych, jak i zwiedzając europejskie muzea, galerie, antykwariaty i aukcje dzieł sztuki. Wyjątkiem były okresy obu wojen światowych. Podczas pierwszej, jako poddany Monarchii Austro-Węgierskiej, spędził kilkanaście miesięcy w formacjach pomocniczych armii austriackiej, a w czasie II wojny światowej został aresztowany i uwięziony w obozie koncentracyjnym Dachau za krytyczne wypowiedzi pod adresem Führera, skąd po kilku miesiącach został zwolniony dzięki zabiegom rodziny. Po zakończeniu wojny został z kolei uznany za Niemca i na krótko internowany.

Udało mu się ocalić swoje zbiory, choć po wojnie już ich nie powiększał, z wyjątkiem zakupu starych książek w krakowskich antykwariatach. Brunon Konczakowski zmarł podczas pobytu w Wiedniu 21 września 1959 r. Został pochowany na cmentarzu komunalnym w Cieszynie w grobowcu rodzinnym (Dział XI narożnik). Kolekcja, na mocy umowy podpisanej 1 lipca 1961 r. pomiędzy Państwem Polskim, a spadkobiercami: synem Fryderykiem oraz żoną Fridą Idą, którzy postanowili wyemigro-



wać do Austrii, uległa podziałowi. Spadkobiercy częściowo darowali, częściowo sprzedali podstawową część kolekcji Państwu Polskiemu z przeznaczeniem dla Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu w Krakowie i Muzeum w Cieszynie. Jeszcze za życia, w 1938 r., Konczakowski podarował olbrzymi zbiór broni Muzeum Wojska w Warszawie, a w latach pięćdziesiątych XX wieku interesująca kolekcja metalowych zamków i kluczy trafiła do Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu.

Wszystkich czytelników „Myśliwca Krakowskiego” zapraszam gorąco do odwiedzenia dworku myśliwskiego w Brennej, aby naocznie mogli się przekonać o jego pięknie (można również tam zanoć w stylowej sypialni) oraz do uroczego miasta Cieszyna i zwiedzenia interesujących wystaw w Muzeum Śląska Cieszyńskiego.



Waldemar Smolski

inż. leśnik, dokumentalista łowiecki, znawca historii zorganizowanego łowiectwa na ziemiach polskich, autor książek, redaktor wielu artykułów z dziedziny łowieckiej. Wykładowca akademicki, lektor i wykładowca PZŁ z dziedziny kultura łowiecka.



Polowanie k. Cieszyna listopad 1935 r. Pan Prezydent I. Mościcki, idący wraz z grupą zaproszonych gości na stanowiska
Foto: W. Pikiel

CO PASTRZE I ZABORCY WNIEŚLI DO JĘZYKA ŁOWIECKIEGO,

czyli o kierdelu, chmarze i rudlu słów kilka

Beata Malczewska



Pożegnaliśmy zimę - najtrudniejszy czas dla zwierzyny. Okres, który wpływa na zmianę zachowań poszczególnych gatunków, w tym również zwierzyny płowej, gromadzącej się w stada, by wspólnie żerować i chronić się przed chłodem oraz zagrożeniem czyhającym ze strony drapieżników. Zimą mogliśmy podziwiać rudle saren, których widok srebrno-szarych sukien oraz śnieżnobiałych luster zapierał dech w piersiach.

Ale nie tylko cieszymy się z uroków i zmieniających się każdą porą barw fauny i flory, ale również korzystamy z bogactwa naszego pięknego języka łowieckiego, w którym wypracowaliśmy całą gamę specjalistycznych nazw i zwrotów, w tym również nazwy ilościowe, służące jako określenia stada poszczególnych gatunków.

Przedstawię po krótko historię trzech rzeczowników, które na dobre zagościły w mowie polskich nemrodów.

KIERDEL

W 1897 roku Jan Karłowicz w „Słowniku wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia” umieszcza leksemy: *kierdel*, *kirdyl*, *kyrdel* oraz zdrobnienie *kierdotek*, które wywodzi ze słowackiego ‘krdel’ oraz niepewnie od ukraińskiego ‘kèrdal’. W każdym z języków oznacza to ‘stado’.

Początkowo sądzono, że wyraz *kierdel* jest „pozostałością językową” po wędrownych pasterzach rumuńskich (Wołochach), którzy od XV wieku przemieszczali się ze stadami bydła i owiec wzdłuż Karpat, od wschodu na zachód. Zasiadli oni najpierw Gorce, a później Tatry i rozwinęli tradycje owczarskie na tym terenie. To właśnie „fala wołoska” wprowadziła do naszego języka wiele nowych terminów związanych z pasterstwem, hodowlą, narzędziami, kulinariami typowymi dla ludności góralskiej wychowanej w zimnym, specyficznym klimacie. Dlatego też pierwsi badacze etymologii, jak na

przykład Lucjan Malinowski, dopatrywali się rumuńskich korzeni nazwy *kierdel*. Dopiero kolejne, bardziej wnikliwe analizy doprowadziły językoznawców do wniosków, że słowo *kierdel* trafiło do polszczyzny raczej od południa, od Słowaków, którzy natomiast przejęli je od Słowenów. Trudno się dziwić, że pasterze po obu stronach Tatr posługiwali się tą samą terminologią, skoro na co dzień żyli i przebywali w tych samych miejscach, wykonywali podobne czynności, gawędzili ze sobą i dzielili się pasterskim doświadczeniem.

Ogólnie, jeśli bliżej przyjrzymy się źródłosłowu gwary podhalańskiej, to zauważymy, że dużo wyrazów, choć bezpośrednio przyniesionych przez pasterzy ze wschodu (z terenów obecnej Rumunii, Ukrainy), sięga jednak korzeniami południowej słowiańszczyzny, tj. języka serbskiego, słoweńskiego, chorwackiego.

A jak *kierdel* trafił do słownika łowieckiego? To już droga prosta: łowiectwo od samego początku nierozdzielnie łączyło się z góralami, dla których *polowaczka*, legalna czy kłusownicza, była zajęciem codziennym, a zwierzyna należała do tego, kto ją pozyskał. Juhasi, wypasający na halach stada, przy nadarzającej się okazji polowali na kozice, świstaki, sarny, które albo użytkowali we własnym zakresie albo sprzedawali.

W gwarze góralskiej stado owiec czy stado kozic nosiło jedną, wspólną nazwę *kierdel*, która rozprzestrzeniła się w mowie i piśmie wśród myśliwych z innych części kraju. Konotacja silnie wiązała się z fauną, florą i pejzażem górskim przez co rzeczownik ilościowy *kierdel* przeszedł z góralskiej gwary pastersko-łowieckiej do języka łowieckiego ogólnopolskiego w odniesieniu do dwóch gatunków zwierzyny: do kozic oraz do muflonów.

Trudno wskazać konkretną datę, kiedy rzeczownik ilościowy *kierdel* wszedł do języka łowieckiego. Prawdopodobnie funkcjonuje w nim od momentu upowszechnienia się polowań na kozice, czyli od kilku wieków, ale w dawnym piśmiennictwie łowieckim trudno znaleźć poświadczenia tego słowa. Być może wynikało to z faktu, że w dużej mierze kozice pozyskiwano metodami kłusowniczymi, nie mającymi nic wspólnego z etyką łowiecką i choć społeczność tatrzańska o tym wiedziała, to raczej wolała milczeć na ten temat. Leksemy *kierdel* oraz zdrobnienie *kierdelek* spotykamy w monografii z roku 1868 pt. „Kozica” autorstwa znanego zoologa tatrzańskiego prof. Maksymiliana Nowickiego: „Kozice, są zwierzęta kształtne, zgodliwe, bojaźliwe i trzymające się zawsze gromadkami, czyli kierdelkami”. Nie jest to jednak publikacja

o charakterze *stricte* łowieckim. Nie znajdujemy takiego hasła w pierwszym, drukowanym słowniku łowieckim Wiktora Kozłowskiego z 1822 roku. *Kierdel* spotykamy dopiero w polsko-niemieckim i niemiecko-polskim „Słowniku myśliwskim” z 1917 roku księdza Ludwika Niedbała.

Podsumowując, można stwierdzić, iż rzeczownik ilościowy *kierdel* jest wyrazem o etymologii południowosłowiańskiej, który wszedł do ustnego języka łowieckiego kilka wieków temu za pośrednictwem pasterzy parających się w wolnym czasie myślistwem, a w formie pisanej regularnie pojawia się w XIX wieku, zaś w materiałach łowieckich dopiero początkiem XX wieku.

CHMARA / CHMURA

Rzeczowniki *chmara* i *chmura* wywodzą się z jednego prasłowiańskiego źródłosłowu. Faktycznie chodzi o ten sam rzeczownik z niejasną wymianą samogłosek z –u na –a.

Wyraz *chmara* w swoim pierwotnym znaczeniu odnosił się do konkretnego zjawiska w meteorologii, czyli do ‘skupiska kropeł lub kryształków lodu unoszących się w atmosferze’ i był synonimem słowa *chmura*. Dopiero od końca XVII wieku, w połączeniu z innymi wyrazami przekształcił się w rzeczownik ilościowy oznaczający ‘bliżej nieokreśloną dużą ilość, liczbę’. Nie od razu funkcjonował jako termin specjalistyczny. Przez kilka wieków było to określenie stosowane w języku standardowym jako ogólne określenie dużego zbiorowiska istot żywych, najczęściej: *chmara ludzi*, *chmara dzieciaków*, *chmara ptaków*, o czym ciekawie pisze w swoich publikacjach Joanna Kozioł z krakowskiej Pracowni Dialektologii Polskiej PAN. Dopiero później wyraz *chmara* został „przejęty” przez myśliwych i znalazł szerokie zastosowanie w kontekście gromadzenia się wszelakiej zwierzyny płowej (łosi, jeleni, danieli, saren), ale też w odniesieniu do wilka!:

„Podczas wielkich mrozów i głębokich śniegów w porze ciekania się, kiedy *wilki* chodzą *chmarami* i często na dokuczliwy głód są narażone, urządzi się na nich polowanie z prosięciem (...)”

Wyraz ten cieszył się bardzo dużą popularnością, do tego stopnia, że jeszcze w latach 70’ dwudziestego wieku stanowił silną „konkurencję” dla rzeczownika ilościowego *rudel* stosowanego w kontekście sarny. Najwięksi badacze zwierzyny płowej, tacy jak np. profesor Pielowski, w swoich wykładach, artykułach, monografiach naukowych opisując stadne zachowania sarny posługiwali się najczęściej terminem *chmara*.

To, że *chmara* i *chmura* to te same słowa, choć



fot Ryszard Adamus

nie do końca wymienne i równoznaczne w każdym kontekście, świadczą nie tylko liczne definicje w słownikach języka polskiego, ale również poświadczenia w klasycie literatury łowieckiej, jak na przykład słynne *chmury kaczek* Juliana Ejsmonda:

„Kaczki rwą się chmurą – wszystkie razem. Szczęśliwy strzelec, na którego taka chmura naleci, ma doskonały strzał ... Inni najczęściej przyglądają się z daleka, jak lis winogronom”.

W opowiadaniach Ejsmonda wielokrotnie spotykamy ten rzeczownik ilościowy w kontekście kaczek. Jest to nazwa symilatywna. Porywające się z tafli wody duże stado ptactwa kojarzy się z ciemną chmurą przysłaniającą słońce.

RUDEL

Rudel to łowieckie określenie stada używane wyłącznie w odniesieniu do saren. To wyraz o krótkiej, ale burzliwej historii. Nie znajdziemy tego określenia ani w pierwszym, słowniku terminologii łowieckiej Wiktora Kozłowskiego z 1822 roku, ani w żadnym podręczniku czy monografii zoologiczno-łowieckiej dotyczącej sarny. Znani i cenieni dziewiętnastowieczni autorzy prac o tym gatunku posługują się takimi określeniami jak: *stado*, *stadko*, *chmara*, *familja*, *zgrupowanie*, *gromada*.

Co więcej, nie znajdujemy terminu *rudel* w największym słowniku języka łowieckiego Stanisława Hoppego, a przy haśle *chmara* możemy przeczytać taką oto definicję: „chmara – stado żubrów, łosi, jeleni, danieli”. Autor wykluczył zastosowanie wyrazu *chmara* w odniesieniu do gatunku sarna, ale nie dodał terminu *rudel* do zasobów leksykalnych swojego słownika. O co więc chodzi?? Skąd i kiedy wziął się ten termin w mowie myśliwych? To prawie jak zagadka detektywistyczna: trzeba dobrze się przyjrzeć nie temu co widać, ale skupić się na tym czego nie ma. No więc, zaczęłam szukać...

Pierwsze pisemne „ślady” *rudla* w terminologii specjalistycznej znajdują się w „Słowniku myśliwskim polsko-niemieckim – niemiecko-polskim” z roku 1917 autorstwa księdza Ludwika Niedbały. W sposób umyślny słowo ‘ślady’ zawarłam w cudzysłowie, gdyż nie jest to żadne poświadczenie wyrazu *rudel* w naszym języku, ale pewna wskazówka, która naprowadziła mnie na pewien trop jego pochodzenia. Autor słownika w ogóle nie umieścił w części polsko-niemieckiej rzeczownika *rudel*. Termin ten odnajduję w części niemiecko-polskiej, czyli jako termin niemiecki, który został przetłumaczony na język polski w następujący sposób: „*Rudel* –

chmara, o grubej zwierzynie, gdy się w towarzystwie znajduje; kierdel, o kozicach”. Jasno wynika, że w pierwszej połowie XX wieku polscy myśliwi stosowali dwa specjalistyczne określenia stada, to jest: *chmara* i *kierdel*, natomiast ich niemieccy koledzy po strzelbie stosowali jedno: *das Rudel*. Z całą pewnością polski rzeczownik ilościowy *rudel* jest zapożyczeniem z niemieckiej terminologii łowieckiej, który nawet nie wymagał zasymilowania się z polskimi zasadami pisowni i wymowy, gdyż brzmiał i wyglądał jak słowo polskie. To, że korzystano z zasobów leksykalnych języka Goethego nie powinno nikogo dziwić, gdyż przez kilka wieków Polska znajdowała się pod zaborami pruskim i Austro-Węgier z językiem niemieckim jako urzędowym, więc kontakty polskich myśliwych z niemieckojęzycznymi nemrodami były zacieśnione. Nawet po odzyskaniu niepodległości po pierwszej wojnie światowej Wielkopolska wciąż pozostawała pod dużym wpływem niemieckiej literatury myśliwskiej, co w sposób naturalny sprzyjało przenikaniu germanizmów do polskiego języka łowieckiego i o czym z dużym ubolewaniem pisał w roku 1929 na łamach „Łowca Polskiego” nr 11 (517) Julian Ejsmond. Jednak w przypadku słowa *rudel* to przenikanie nie było tak proste i oczywiste. Przeglądałam wielokrotnie prasę łowiecką końca XIX oraz pierwszej połowy XX

wieku i nie udało mi się odnaleźć przykładów użycia *rudla* w języku polskim. Dopiero w numerze 13 (1328) z lipca 1968 roku odkryłam artykuł pt. „Język łowiecki a nasz język potoczny” pióra Stanisława Hoppego, w którym znany badacz w ostrych słowach odnosi się do wyrazu *rudel* w polskiej gwarze łowieckiej, w następujący sposób argumentując wypowiedź:

„Wybitną cechą naszego słownictwa łowieckiego jest jego rodzimy, polski charakter. Tylko nieliczne określenia zapożyczyliśmy z obcych, niestowiańskich języków, nie licząc oczywiście, germanizmów, rusycyzmów, romanizmów, szeroko stosowanych w czasie zaborów, których używania zaniechano lub które zanikają. Przerazenie ogarniało każdego, uczulonego na piękno naszego języka łowieckiego, gdy czytał owe obce wtręty, jak na przykład: *sztrajfa*, *weksel*, *blat grubego zwierza*, *flinta*, *anlauf*, (...), *rudel*, *grandle*, *witerunek* (...)”.

Dla wybitnego leksykografa *rudel* i inne wyrażenia, które jako zapożyczenia z języka niemieckiego, rosyjskiego czy francuskiego weszły najpierw do języka potocznego myśliwych, a następnie do łowieckiego języka pisanego, miały negatywne konotacje związane z historyczną niewolą naszego kraju. Reakcja autora jest całkiem zrozumiała, ale nasz język, jak każdy inny ewoluuje, bo takie jest naturalne prawo. Językoznawcy mówią wówczas o diachronicznych

fot Ryszard Adamus





fot Jerzy Chmiel

i synchronicznych aspektach języka. Z jednej strony język jest konwencjonalnym dziedzictwem przekazywanym z pokolenia na pokolenie, z drugiej zaś, na przestrzeni czasu ulega zmianom, gdyż tak jak w przypadku języka łowieckiego zmieniają się na przykład: techniki polowań, prawo, uwarunkowania przyrodnicze itd. Zmieniają się również sami myśliwi. Żyją w innych warunkach geopolitycznych, zyskują nowe doświadczenia w kontakcie z innymi kulturami i ich przedstawicielami. Bywa, że są to kontakty przymusowe, tak jak w przypadku zaborców, ale nie zmienia to faktu, że język, którego używamy, jest elastyczny i podatny na nowości i nie da się całkowicie wyeliminować zapożyczeń w zakresie słownictwa, tak jak nie da się na siłę zachować w mowie wyrazów, których już nie potrzebujemy.

W przypadku rzeczownika *rudel* wprowadzenie go do języka łowieckiego było uzasadnione, gdyż wyraz nie stanowił konkurencji dla istniejącego wcześniej słowa polskiego, ale wypełniał pewną lukę semantyczną i nasz język wzbogacił się o kolejny specjalistyczny termin. Skoro muflony i kozice mają osobną nazwę stada, duża zwierzyna płowa żyje w chmarach, dziki w wa-

tachach, to dlaczego nasz rodzimy gatunek sarny nie mógłby mieć własnego określenia gromady? Zwłaszcza, że jest to najczęstszy zimowy obrazek naszych polnych łowisk.

Z pewnością dystans czasowy wpływa na moje mniej radykalne podejście do zagadnienia niemieckich, „obcych wtrętów” introdukowanych do gwary łowieckiej. Stanisław Hoppe miał zupełnie inne, zapewne bogatsze i mniej pozytywne doświadczenie niż ja w kwestii przenikania germanizmów do polszczyzny. Prawdopodobnie opinia tego znanego badacza mogła mieć wpływ na popularność słowa *rudel* w tamtym okresie, gdyż autor był (i nadal pozostaje) dużym autorytetem w dziedzinie języka i kultury łowieckiej.

Ciekawą sytuację zaobserwowałam w tekstach dotyczących sarny autorstwa (wówczas jeszcze doktora) Zygmunta Pielowskiego. W 1969 roku, w majowym numerze „Łowca Polskiego” [nr 9 (1348)] zamieszczono jego artykuł pt. „Zagadnienie sarny ‘polnej’ w Polsce”, gdzie czytamy:

„*Ekologiczna odrębność sarny ‘polnej’ uwiadamia się przede wszystkim w odmiennej strukturze przestrzennej jej populacji. W odróżnieniu od sarny ‘leśnej’, która w okresie zimowym żyje pojedynczo lub*

tworzy małe tylko ugrupowania złożone z kilku osobników, sarna ‘polna’ prowadzi w tym czasie wyraźnie stadny tryb życia. Tworzą się rudle liczące po kilkanaście, a nawet po kilkadziesiąt sztuk”.

W tekście „Łowca” Pielowski konsekwentnie stosuje określenie *rudel*, ale już rok później w swojej, liczącej ponad dwieście stron, monografii naukowej zatytułowanej „Sarna”, autor całkowicie „wycofał się” z użycia tego słowa, zastąpiwszy je wyrazem *chmara*. Oto prawie identyczny cytat, ale tym razem pochodzący z publikacji książkowej:

„*Ekologiczna odrębność sarny polnej uwiadamia się przede wszystkim w odmiennej strukturze przestrzennej jej populacji. W odróżnieniu od sarny leśnej, która w okresie zimowym żyje pojedynczo lub tworzy małe tylko ugrupowania składające się z kilku osobników, sarna polna prowadzi w tym czasie wyraźnie stadny tryb życia. Tworzą się chmary liczące po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt sztuk.”* (1970: 102-103).

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałam monografię i na żadnej stronie nie znalazłam określenia *rudel*. Co się stało, że w ciągu jednego roku badacz przestał używać tego słowa? Niestety, nie mogę osobiście o to zapytać profesora Zygmunta Pielowskiego, gdyż zmarł w roku 2009. Przypuszczam, że mogło się to wiązać z recenzją książki. Każda praca o charakterze naukowym podlega recenzji i być może podczas prac redakcyjnych zasugerowano autorowi, aby nie stosował zapożyczenia *rudel*, ale by posługiwał się nazwą od dawna zakorzenioną w polskiej terminologii łowieckiej *chmara*. A może badacz przeczytał artykuł Hoppego i podzielił jego zdanie? Trudno powiedzieć.

W 1971 roku ukazał się publikacja „Gospodarka łowiecka. Nazwy i określenia. BN-71/9240-02”, która jasno określiła i rozwiała wątpliwości co do zakresu użycia terminologii łowieckiej.

Był to dokument normalizacyjny, którego celem było wprowadzenie jednolitego znaczenia określeń powszechnie stosowanych w gospodarce łowieckiej i wyeliminowania niewłaściwych pojęć lub naleciałości z obcych języków. W słowniku zawarto cztery rzeczowniki ilościowe: *rudel*, *chmara*, *kierdel*, *wataha*, ucinając tym samym dyskusję o zasadności użycia poszczególnych wyrazów. Oficjalnie uznano, że wyraz *rudel* przyjął się w specjalistycznej terminologii łowieckiej i znajduje uzasadnione miejsce w zasobach słownikowych, wypełniając określoną lukę semantyczno-leksykalną. Jeśli chodzi o naszego czołowego leksykografa – Stanisława Hoppego, to nie zmienił zdania i w żadnym wydaniu jego „Słownika języka łowieckiego” nie odnajdujemy hasła *rudel*. Takie oto burzliwe losy miało jedno słowo, które obecnie zna i stosuje każdy myśliwy.

Nasz język łowiecki jest piękny, bogaty i zajmuje wyjątkowe miejsce w polskiej kulturze, a gdy przyjrzymy się bliżej pochodzeniu wybranych określeń, to odkrywamy niesamowite historie i kręte drogi, którymi te słowa docierały do naszej rodzimej mowy. Doceniajmy więc, naszą kulturę i bądźmy dumni z tego, że mamy przywilej posługiwania się rodzimym językiem łowieckim. To jest nasze dziedzictwo i to, co po nas zostaje...



dr Beata Malczewska

adiunkt w Katedrze Językoznawstwa Włoskiego Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. W szeregach PZŁ od 2021 roku. Członek KŁ „Knieja” w Krakowie. Członek Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej (Oddziału Rzeszowskiego).

fot Ryszard Adamus



Jacek W. Jaskulski, Mieszko Ćwiertnia



Koła Łowieckiego BÓR w Krakowie

70 lat historii



Listopad to w każdym kole łowieckim czas uroczystości ku czci Św. Huberta oraz polowań hubertowskich. Dla Koła Łowieckiego „Bór” Kraków miesiąc ten był wyjątkowy z jeszcze jednego powodu, bowiem w tym roku Koło obchodziło jubileusz 70-lecia swojego istnienia.



W dniu 5 listopada członkowie Koła wraz z rodzinami i licznie zaproszeni goście zgromadzili się w kościele MB Fatimskiej w Jarosławcu na uroczystej mszy świętej odprawionej w intencji zmarłych kolegów oraz wszystkich członków Koła i ich rodzin. Celebrowali ją: ks. proboszcz Krzysztof Kóska, O. Tadeusz Popiela – przeor Kolegium Karmelitańskiego w Rzymie, kapelan PZŁ w Krakowie oraz ks. Mieszko Ćwiertnia – członek i kapelan naszego Koła. Kazanie wygłosił O. Tadeusz Popiela, w którym ukazał sens i piękno etosu polskiego łowiectwa, a także przypomniał, jak ważne są normy moralne i etyka łowiecka w życiu każdego myśliwego, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, wypełnionych atakami na polskie łowiectwo i myśliwych.

Następnie udaliśmy się do karczmy „Gieda” w Zagórzanach, gdzie miała miejsce dalsza część uroczystości jubileuszowych. Zebranych powitał prezes Janusz Kubicz. Wśród tych, którzy zaszczytili nas swą obecnością, byli: Przewodniczący Kapituły Odznaczeń Łowieckich Maciej Kaliski, Nadleśniczy Nadleśnictwa Myślenice, członek ZO PZŁ w Krakowie Tomasz Bartko, Wójt Gminy Gdów Zbigniew Wojas, Naczelnik WRD Komendy Powiatowej Policji w Krakowie Andrzej Górka, wieloletni Prezes ORŁ w Krakowie Janusz Szkatuła oraz Stanisław Gąsienica – członek Komisji Oceny i Wyceny Trofeów Łowieckich. Wśród zebranych było również wielu

naszych przyjaciół – członków sąsiednich kół łowieckich.

Ten uroczysty wieczór miał szczególny charakter dla kilku członków naszego Koła, którzy zostali odznaczeni Medalami Zasługi Łowieckiej. Z rąk kol. Macieja Kaliskiego w asyście kol. Tomasza Bartko odznaczenia łowieckie otrzymali: Piotr Przyszlakowski (brązowy), Małgorzata Kuzianik (srebrny) i Jacek Wilhelm Jaskulski (Złoty Medal Zasługi Łowieckiej).

Pan Zbigniew Wojas – Wójt Gminy Gdów uhonorował Koło Medalem 750-lecia lokacji Gdowa „Jako docenienie działalności koła na rzecz środowiska przyrodniczego na terenie gminy Gminy Gdów oraz owocną współpracę z samorządem Gminy Gdów”, Tomasz Bartko, w imieniu ZO PZŁ w Krakowie, wręczył album o lasach oraz piękny relief z wizerunkiem św. Huberta.

Wszyscy uczestnicy uroczystości otrzymali pamiątkowe odznaki wybite z okazji jubileuszu 70-lecia Koła, natomiast członkowie Koła noże myśliwskie ufundowane przez F.H. „Knieja”.

W dalszej części obchodów sekretarz Koła kol. Jacek W. Jaskulski przedstawił historię naszego Koła, natomiast łowczy kol. Wiesław Biernat zapoznał zebranych z przemianami w gospodarce hodowlano – łowieckiej w naszych obwodach, jakie zaszły w okresie minionych 70 lat. Ostatnim punktem tej części uroczystości była wspólna prezentacja multimedialna, przygotowana przez kol. Rafała Engelmana, który zebrał i za-



prezentował w pięknej oprawie muzycznej fotografie z okresu istnienia naszego Koła. Mogliśmy zobaczyć, jak wyglądały polowania i prace hodowlane w minionych czasach, w zadumie przypomnieć sobie wielu spośród nas, którzy już odeszli do wieczności i powspominać te chwile, gdy byli jeszcze pośród nas w kniei.

Po zakończeniu części oficjalnej rozpoczęła się tradycyjna biesiada myśliwska, w czasie której zebrani goście mogli podziwiać trofea myśliwskie członków naszego Koła umieszczone na specjalnej wystawie, którą wspaniale zorganizował i przygotował kol. Mariusz Bukowiec wraz z kolegami Robertem i Łukaszem Turakiewiczami, Robertem Fąfarą, Wojciechem Wiltowskim oraz z przyjacielem naszego Koła – kol. Tadeuszem Śliwą.

Historia Koła

Koło Łowieckie „Bór” w Krakowie powstało w marcu 1952 roku jako kontynuator tradycji przedwojennego Towarzystwa Myśliwskiego nr 7. Inicjatorami była grupa pasjonatów łowiectwa, a wśród nich Czesław Skowron – st. inspektor WRŁ w Krakowie, który w latach 1954-1964 był łowczym wojewódzkim. W sumie statut Koła podpisało 17 członków – założycieli, m.in.: Zbigniew Komorowski, Władysław Mędrek, Franciszek Cichy, Adam Engelman, Mieczysław Wędziński, Andrzej Szymański (sen.),

Roman Okuszek, Eugeniusz Kozłowski, Tomasz Aschenbrenner i Marian Winsch. Barierą dla wielu chętnych była trudność w uzyskaniu zezwolenia na broń myśliwską (wojenna przeszłość, pochodzenie). Dopiero po „odwilży” w 1956 roku szeregi kół łowieckich znacznie się powiększyły.

W tamtym czasie do Koła zostali przyjęci m.in. koledzy: Karol Biliński, Tadeusz Brodkiewicz, Stanisław Jaskulski, Jan Adamczewski i wielu innych. Koło wydzierżawiło trzy obwody łowieckie – Kraków-Olszanica, obejmujący pola byłych majątków radziwiłłowskich (Balice, Aleksandrowice, Mydlniki, Rząska i Olszanica), obwód Gdów oraz obwód Skrzynka - zwarty kompleks leśny o pow. 3000 ha leżący w powiecie Dąbrowa Tarnowska, gdzie bytowały dziki, licznie sarny i zające. Polowania w Skrzynce były wyłącznie dwudniowe, jeździło się na nie ciężarowym starem z plandeką lub pociągami z przesiadką w Tarnowie. Niestety Koło utraciło ten obwód w 1966 roku.

W 1960 roku z inicjatywy ówczesnego łowczego Janusza Wiltowskiego (sen.) siedzibą Koła na wiele lat stała się Polska Akademia Nauk w Krakowie przy ul. Sławkowskiej 17. Na jubileusz 50-lecia ufundowany został sztandar Koła oraz podjęto uchwałę o mundurach galowych.

Obecnie prowadzimy gospodarkę łowiecką

w dwóch obwodach – w obw. 40 „Balice” o pow. 3543 ha oraz w obw. 76 „Marszowice” o pow. 5743 ha. Do końca lat 70-tych obwody „krakowski” i „gdowski” obfitowały w zwierzynę drobną - zające, kuropatwy, bażanty, kaczki. Jednodniowe pokoty przekraczały 80 zajęcy, jak pisze w swoich wspomnieniach Karol Biliński. Jeszcze w sezonie 1967/68 prowadzone były odłowy zające na eksport. Obecnie, pomimo systematycznych wsiedleń do łowisk bażantów oraz kuropatw (m.in. dzięki dotacjom jakie koło otrzymuje na ten cel z Urzędów Gmin Gdów oraz Zabierzów), tworzenia remiz stałych i okresowych, budowania posypów i paśników, a także redukcji drapieżników stan liczebny zwierzyny drobnej jest słaby. W tym samym czasie wzrosła znacznie populacja dzika, jelenia i sarny. Pozyskanie zwierzyny w sezonie łowieckim 2021/2022 to 14 jeleni, 75 saren, 219 dzików, 78 lisów, 7 borsuków, 5 kun, 10 zajęcy, 39 bażantów i 33 krzyżówki.

Szkody od zwierzyny (głównie dzicze) wyceniane są niezwłocznie, a odszkodowania wypłacane terminowo, co pomaga w utrzymaniu bardzo dobrych relacji z miejscowymi rolnikami. Wzorowo układa się współpraca Koła z admini-

stracją Lasów Państwowych oraz władzami gmin. Szczególnie bliskie relacje łączą Koło „Bór” z Nadleśnictwem Krzeszowice z siedzibą w Zabierzowie, Nadleśnictwem Myślenice oraz wójtami gmin Gdów i Zabierzów. Członkowie Koła wraz z rodzinami wielokrotnie uczestniczyli w corocznych akcjach sadzenia lasu na terenie Nadleśnictwa Krzeszowice (organizacja zalesień – kol. Wiesław Biernat), gminnych akcjach likwidacji dzikich wysypisk śmieci, sprzątania duktów leśnych, walce z wnykarstwem i kłusownictwem. Czterech członków Koła jest strażnikami łowieckimi. We współpracy z lokalną policją 3 sprawy o kłusownictwo zostały zakończone wyrokami skazującymi.

Koło od lat prowadzi, w formie prelekcji i konkursów z nagrodami, edukację przyrodniczą – łowiecką dzieci i młodzieży ze szkół w Zabierzowie, Rząsce i Brzeziu. W rolę edukatorów wcielili się koledzy: Kazimierz Stanek, Wiesław Biernat i Tadeusz Brzuchacz. Od dwóch lat lekcje przyrodniczo – łowieckie oraz zajęcia terenowe w łowisku dla dzieci ze Szkoły Podstawowej w Łapanowie organizowane są również na terenie kwatery naszego Koła w Wólce Zręczyciej przez kolegów: Mariusza Bukowca, Jacka





W. Jaskulskiego, Mieszka Ćwiertnię z udziałem leśniczego Piotra Dody. Po zajęciach przygotowany jest poczęstunek, ognisko z kiełbaskami, a każde z dzieci otrzymuje egzemplarz „Łowca Polskiego”.

Koło Łowieckie „Bór” Kraków cieszy się wśród lokalnej społeczności oraz w środowisku krakowskich myśliwych bardzo dobrą opinią. Aktywnie uczestniczymy w życiu krakowskiego PZŁ. Liczna reprezentacja Koła wraz z pocztą sztandarową bierze udział w corocznych obchodach Krakowskich Dni Hubertowskich w Bazylice Mariackiej w Krakowie oraz na Zamku Królewskim w Niepołomicach. Uczestniczymy w gminnym Hubertusie Łapanowskim. Wspieramy organizację obchodów finansowo, podobnie jak Festiwal Muzyki Myśliwskiej w Niepołomicach. Koło brało udział w organizacji Małopolskich Mistrzostw PZŁ w Wąbnie i Drapieżników, posiadamy certyfikat uczestnictwa w proekologicznej akcji „Świeć przykładem – myślistwo jest „Eko”.

Współpracujemy z lokalnymi mediami – piśmami „Znad Rudawy”, „Goniec Zabierzowski”, „Mój Gdów”. Uczestniczymy w corocznej akcji „Myśliwska paczka”. W okresie pandemii

Covid-19 Koło przekazało 2 tys. certyfikowanych maseczek jednorazowych. W 2022 roku dla rodzin pięciu najbardziej potrzebujących uczniów Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Suchorabie zostały dostarczone paczki świąteczne (koledzy Mieszko Ćwiertnia, Andrzej Zduń, Marcin Długosz). Wspieramy również lokalne akcje charytatywne, jak pomoc dla chorego Kacperka Ryło z Brzoskwini i wiele innych.

Zarząd i członkowie Koła kultywują zwyczaje i tradycje łowieckie. Każdego roku uroczyste obchodzone jest Dzień Św. Huberta oraz polowanie wigilijne, które rozpoczynamy od dzielenia się opłatkiem ze zwierzyną a kończymy wieczerzą wigilijną.

W 2019 roku, dzięki staraniom kolegów (Jacek W. Jaskulski, Janusz Kubicz), Koło wydzierżawiło od Nadleśnictwa Myślenice budynek dawnego schronu robotniczego w Wólce Zręczyckiej (leśnictwo Gdów), który to po przeprowadzonym remoncie pełni funkcję kwatermy myśliwskiej. Remont generalny obejmujący wymianę dachu, stropu, podłogi, drzwi, okien i tynków przeprowadzili koledzy Mariusz Bukowiec i Wojciech Zdebski, a zadaszoną werandę wybudował kol. Kazimierz Turakiewicz.

Wszystkie prace zostały wykonane z pomocą i pełnym zaangażowaniem wielu członków Koła. Trofea myśliwskie do dekoracji kwatery przekazał prof. Roman Ney. Kwatera została uroczystie otwarta w dniu 23 listopada 2019 roku.

Niezwykle ważną sprawą dla członków Koła jest trofeistyka. Bardzo wielu z nas posiada wypreparowane, wspinalnie wyeksponowane zbiory wieńców, parostków, oręży, skór i czaszek. Wieleletnia, prawidłowo prowadzona gospodarka hodowlana oraz selekcja samców zwierzyny płowej przynosi efekty w postaci medalowych osobników. Tylko w zakończonym sezonie łowieckim 2022/2023 parostki trzech rogowców zostały wycenione jako złotomedalowe (jeden z nich uzyskał najwyższą punktację w okręgu krakowskim), jeden na srebrny medal, dwa na medal brązowy.

Koło Łowieckie „Bór” w Krakowie liczy obecnie 44 członków w tym 5 diano oraz dwoje stażystów. Członkowie zarządu Koła – prezes Janusz Kubicz, łowczy Wiesław Biernat, sekretarz Jacek W. Jaskulski, skarbnik Zbigniew Engelman pełnią swoje obowiązki w prawie niezmiennym składzie od ponad 20 lat. Niestety kilka tygodni przed jubileuszem zmarł przedwcześnie nasz kolega i przyjaciel, długoletni v-ce łowczy Koła Wojciech Zdebski. Walne Zgromadzenie wybrało na funkcję v-ce łowczego kol. Mariusza Bukowca.

Wielu członków Koła pełniło lub pełni odpowiedzialne funkcje w naczelnym i okręgowych władzach i organach Polskiego Związku Łowieckiego: Karol Biliński, Janusz Wiltowski, Jan Adamczewski, Władysław Mędrak, Stanisław Rojkowski, Ryszard Staudt, Tomasz Janiszewski, Zbigniew Engelman oraz Janusz Kubicz (członek Kapituły Odznaczeń Łowieckich oraz członek Komisji Oceny Trofeów), Krzysztof Cieślak (członek Komisji Oceny Trofeów), Tadeusz Brzuchacz (Rzecznik Dyscypliny ZO PZŁ), Małgorzata Kuzianik oraz Piotr Przyszlakowski (z-cy Rzecznika Dyscyplinarnego).

Koło Łowieckie „Bór” Kraków w 2002 roku zostało odznaczone Medalem „Za Zasługi dla Łowiectwa Krakowskiego”, a w 2017 roku „Złotym





kiego wspominamy wszystkich, którzy odeszli do Krainy Wiecznych Łowów zgodnie z dewizą wykutą na pamiątkowych obeliskach w Chrostowej i Grzybowie, ufundowanych przez członków Koła w roku 60-lecia - „Pamięci myśliwych i leśników”

Jacek W. Jaskulski
Mieszko Ćwiertnia



Medalem Zasługi Łowieckiej”. Również wielu aktualnych członków Koła w uznaniu zasług zostało odznaczonych Medalami Zasługi Łowieckiej -brązowym (9), srebrnym (8) i złotym (6) oraz medalami Za Zasługi dla Łowiectwa Krakowskiego: Karol Biliński, Janusz Wiltowski, Stanisław Rojkowski, Janusz Kubicz i Tadeusz Brzuchacz. W historii Koła sześciu kolegów zostało odznaczonych najwyższym odznaczeniem łowieckim - Złotym. Należą do nich: Karol Biliński, Janusz Wiltowski (sen.), Stanisław Rojkowski, Ryszard Staudt oraz Wiesław Biernat i Janusz Kubicz.

W okresie 70 lat istnienia Koła jego członkami było ponad 100-tu myśliwych, koleżanek i kolegów. W 100-lecie Polskiego Związku Łowiec-



Wojciech Zdebski 1965 – 2022



Wojciech Zdebski od najmłodszych lat był wychowany w tradycjach łowieckich, które przekazywał mu jego ojciec Kazimierz. Wiele lat później on sam inspiruje swoją pasją bliskich i wprowadza do grona braci łowieckiej brata Janusza i córkę Edytę. W 1986 roku wstępuje w szeregi Polskiego Związku Łowieckiego oraz zostaje członkiem naszego koła „Bór” Kraków. W latach 1990-2000 był członkiem Komisji Rewizyjnej i gospodarzem obwodu, w 2000 roku został V-ce Łowczym koła. Wybierany na kolejne kadencje pełnił tę funkcję przez 22 lata – do ostatnich chwil życia. Swoim zaangażowaniem i determinacją doprowadził do wzorowego zagospodarowania łowiska. Kochał las, dla wielu z nas był skarbnicą wiedzy o naszych rewirach, o zwierzynie i o lesie, w którym przez wiele lat pracował i który znał jak nikt inny. Wojtek wyróżniał się wyjątkową wrażliwością na problemy kolegów, starszych i słabszych, zawsze pogodny i życzliwy, dzielił się swoją pasją, doświadczeniem myśliwskim i głęboką wiedzą przyrodniczą ze wszystkimi. Pod jego troskliwym, ale i wymagającym okiem, wzrastali kolejni myśliwi, których wspierał, służył radą i pomocą, nie wahał się też upomnieć. Wymagał od innych tego, czego najpierw wymagał od siebie. Dbał o dobre imię polskiego łowiectwa, zawsze kierował się zasadami etyki łowieckiej, tradycji i bezpieczeństwa, zarówno polując indywidualnie, jak też prowadząc przez lata polowania zbiorowe.

Przygotowywał uroczyste oprawy polowań hubertowskich i wigilijnych, zajmował się organizacją kolejnych jubileuszy koła, okolicznościowymi wystawami trofeów łowieckich.

Będąc już chorym aktywnie uczestniczył w remoncie kwatery koła, jej uroczystym otwarciu oraz pierwszych lekcjach dla dzieci ze szkoły w Łapanowie.

Wojtek był wspaniałym towarzyszem łowów, w nieodłącznym towarzystwie terierek – niezapomnianej Łatki, później Tośki, przeżyliśmy wspólnie wiele pięknych myśliwskich chwil, emocji i przygód łowieckich. Pozostawił po sobie wspaniałą kolekcję trofeów, w tym wiele medalowych. Ucząc młodszych kolegów sztuki preparowania zwykły mawiać „Patrz i ucz się, bo wiecznie żył nie będę”. Nikt z nas nie przypuszczał wówczas, że te słowa tak szybko się spełnią.

Wojtek odszedł do wieczności, po ciężkiej chorobie, 28 sierpnia 2022 roku. Został pochowany z honorami łowieckimi i jodłowym Złotem w dniu 30 sierpnia 2022 r. na cmentarzu w Łapanowie.

Wojciech Zdebski za swoją działalność łowiecką, lata ofiarnej pracy i poświęceń dla naszego koła, troskę o przyrodę i etyczne łowiectwo został odznaczony brązowym (2004), srebrnym (2012) oraz Złotym Medalem Zasługi Łowieckiej (2018).

...„W puszczy znajdziemy drzewa – drogowaskazy, rozłożyste dęby czy buki, osłaniające młode pokolenie kniei, punkty orientacyjne, które pozwalają odnaleźć myśliwemu drogę powrotu na zagubioną ścieżkę. Gdy jednego z takich drzew nagle zabraknie w koronach pozostaje otwarte niebo i tylko pień w runie leśnym przypomina o jego istnieniu. Jednak pozostaje jeszcze nadzieja na ponowne spotkanie w tych lepszych niebiańskich łowiskach w drużynie Św. Huberta”...

(Kol. Ks. Mieszko Ćwiertnia, 30 sierpnia 2022r., Łapanów).

Koleżanki i koledzy
Koło Łowieckie „Bór” w Krakowie



ODZNACZENIA ŁOWIECKIE

**Okręgowa Kapituła Odznaczeń Łowieckich w Krakowie
Informuje o przyznanych odznaczeniach osobom,
myśliwym i kołom łowieckim
w okresie od sierpnia 2021r. do marca 2023 r.**

ZŁOM

Koło Łowieckie „Bór” Kraków,
Koło łowieckie „Żuraw” w Chrzanowie,
Hanna Karczmarzka, Janusz Kubicz, Andrzej Patoła.

Złoty Medal Zaslugi Łowieckiej

Koło Łowieckie „Jastrząb” Kraków, Koło łowieckie „Jarząbek” Kraków, Koło Łowieckie „Orlik” Kraków, Koło Łowieckie „Ponowa” Kraków,
Jan Dziura Bartkiewicz, Józef Boduch, Wilhelm Jacek Jaskulski, Zofia Karolczyk, Anna Kozłowska, Marian Kwinta, Jacek Layer, Piotr Nowakowski, Jan Pilch, Zygmunt Rudy, Stanisław Seweryn, Henryk Żuławiński.

Srebrny Medal Zaslugi Łowieckiej

Koło Łowieckie „Wabik” Kraków, Tomasz Bartko, Bogdan Błaszczuk, Jan Bonar, Krzysztof Brajtowicz, Stanisław Chadzak, Jan Czekański, Piotr Czekański, Aleksandra Dziecioł-Gęsiarz, Mateusz Dudzik, Roman Dziewoński, Andrzej Gądek, Romuald Huszczo, Teodor Jagodziński, Paweł Kaczka, Małgorzata Kuzianik, Henryk Okarma, Stanisław Pieprzycki, Eryk Sokołowski, Waldemar Stachura, Andrzej Waga, Wojciech Wcisło.

Brązowy Medal Zaslugi Łowieckiej

Tadeusz Adamski, Jan Cichy, Mateusz Czerwiec, Ewa Dobrzyńska-Lankosz, Michał Domagała, Andrzej Dul, Michał Goś, Grzegorz Grabowski, Zbigniew Jaros, Mariusz Kawala, Krzysztof Kij, Witold Lalicki, Stanisław Likus, Michał Matyjewicz, Jerzy Olearczyk, Grzegorz Oszywa, Marek Pawłowski, Marian Pieńkowski, Dariusz Piórko, Piotr Przyszlakowski, Barbara Rachwalik, Tadeusz Sadowski, Paweł Sawicki, Janusz Sędzielas, Piotr Sikora, Jan Stanisław Sojka, Paweł Stan, Stanisław Stec, Bogdan Wiliński, Marek Wojcieszko, Adam Wójcik.



Waldemar Smolski

POLMET
tel. 34/ 361 61 71
tel. kom. 504 047 863
e-mail: polmet@polmet.com.pl

medale pamiątkowe
znaczki okolicznościowe
pinsy
odznaczenia
ordery

przypinka.pl
tel. 694 222 799

PRZYPINKI OKOLICZNOŚCIOWE
MAGNESY PAMIĄTKOWE
BRELOCZKI
PINSY 3D (ZALEWANE ŻYWICĄ)
PINSY EMALIOWANE, ODLEWANE

Na dachu świata – KIRGISTAN, CZ.II

Andrzej Patola



Przed świtem pobudka i jedziemy z dwoma braćmi Kirgizami w góry. Najpierw w świetle laterek granią stromo w dół. Przy skłonie do potoku nasze drogi się rozchodzą. Starszy z braci, Gajdar, pojechał w prawo na pobliski stok góry, skąd będzie obserwował nas i koziorożce, ja z Dżajdarem w lewo, za potok, w kierunku masywu skalnego. Po sforsowaniu głębokiego potoku, zakosami podjechaliśmy ostro w górę i po przejechaniu kilkuset metrów zsiadliśmy z koni. Niestety dalej nie możemy jechać konno, bo byłibyśmy szybko dostrzeżeni przez koziorożce, które są powyżej nas.

Świt przyszedł szybko. Byliśmy na stoku góry, porośniętym uschniętą trawą, a powyżej nas były już tylko skały. To, co było dalej, mogę określić jednym słowem – „katorga”. Na tej wysokości dla nas, ludzi z nizin, podejście dwudziestu metrów pod górę stanowi duży problem. Brak tlenu połączony z wysiłkiem sprawia, że dyszysz jak parowóz, mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Nasza droga prowadzi stromo pod górę. Stajesz, musisz odpocząć.

Gdy w pełni zaświeciło słońce mój przewodnik Dżajdar dostał radiową wiadomość od swo-

jego brata, że koziorożce są, ale na sąsiedniej górze. Więc skręciliśmy w prawo i bardzo ostrym stokiem spuszczaaliśmy się między skałami do następnego potoku. I tutaj czekała mnie następna lekcja poruszania się w górach. W tym miejscu góry powyżej łąk są pokryte pokruszonymi skałami różnej wielkości. Dobrze po stoku chodzi się po drobno skruszonych skałach, które są jak gruby piasek. Buty dobrze się w nich klinują. Dobrze też się idzie po gołoborzu, gdy kamienie są duże i można po nich skakać, o ile masz siłę. Najgorsze stoki to te pokryte skałami wielkości pięści. Są niestabilne i trzeba je obchodzić, gdyż wejście na nie powoduje ostry zjazd w dół.

Po długim i karkołomnym zejściu w dół dotarliśmy do podnóża góry, a następnie brzegiem potoku podchodziliśmy ostro pod następną górę. Po około godzinie, w miejscu, gdzie potok się rozdawał, dostaliśmy wiadomość, że mamy skręcić w prawo i iść lewym brzegiem. Dzięki temu będziemy mniej widoczni od strony skał na szczycie, gdzie są koziorożce. Po drodze mijaliśmy sięgające do pasa zarośla, które z daleka wydawały się zieloną łąką, a w rzeczywistości okazały się roślinami z potężnymi kolcami. Przejść

przez nie można było tylko ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta, a i tak czepiały się ubrania i kłuły nogi. W potoku było coraz więcej dużych głazów i trzeba było je omijać, co zwiększało dystans do pokonania. Nie wiem, co dłużej trwało – podchodzenie czy odpoczynek. Skłaniałbym się do tego drugiego.

Byliśmy już dosyć wysoko. Dżajdar przykucnął, ukrył się za następnym głazem i pokazał, abym zrobił to samo. Przykucnąłem więc i schowałem się za jego plecami. Przez lornetkę zobaczyłem piękny widok. Pomiędzy wysokimi skałami przed szczytem widoczny był klin łąki, na której żerowały koziorożce. Stado liczyło ponad trzydzieści osobników, w tym kilka samców. Najładniejszą czarną suknię i najdłuższe rogi miał samiec po prawej stronie, lecz był on najdalej. Po lewej stronie stał podobny, a był dużo bliżej. Dżajdar pokazał mi na migi, że spróbujemy pod osłoną głazów podejść bliżej. Najpierw na kolanach, później czołgając się skróciliśmy dystans o około pięćdziesiąt metrów i gdy zobaczyłem niewielki kamień z naturalnym wgłębieniem w środku postanowiłem o niego oprzeć sztucer. Obserwując przez lornetkę stado upewniłem się, że ten koziorożec bliżej nas ma piękne długie, grube rogi i jest wart strzału. Stado zachowywało się spokojnie. Część żerowała, część leżała w ni-

skiej suchej trawie. Zdjąłem sztucer z pleców, rozłożyłem bipod i ustawiłem na wgłębieniu kamienia. Nie musiałem regulować nóżek, bo cel widziałem dobrze. Po włączeniu dalmierza w mojej lunecie, okazało się, że do celu jest 305 metrów. Dżajdar ponagli, bym strzelał, bo nie ma możliwości podejścia bliżej. Czerwona kropka, wskazująca miejsce strzału, po przeliczeniu opadu kuli, lśni jak rubin na niskiej komorze. Czas na decyzję. Wstrzymuję oddech. Lekki ucisk na spust. Widzę obłok kurzu na skale za koziorożcem powyżej jego grzbietu. Jednak jeszcze bardziej rozrzedzone powietrze spowodowało podniesienie toru pocisku. Stado zerwało się i skierowało się w stronę szczytu. Przeładowanie kuli w Blaserze jest bardzo szybkie, bez odrywania lunety od oka. Obserwuję ucieczkę koziorożca. Pnie się ostro w górę i gdy jest w odległości czterystu metrów pokazuje łopatkę. Strzelam z wyprzedzeniem. Pudło. Mam do siebie żal, że to moja wina, że powinienem celować niżej. Z obawą myślę też, czy jutro dam radę podejść na podobną górę. Widzę jednak, że stado uspokaja się, zatrzymuje i przygląda się, jakby sprawdzając, co je spłoszyło. Widzę mojego koziorożca. Jest trzeci z lewej. Stoi na wysokiej półce skalnej. Włączam dalmierz – 585 m. Nigdy nie strzelałem na tak dużą odległość. Waham się, ale Dżajdar





mnie dopinguje. Obniżam punkt celowania w lunecie poniżej mostka i lekko naciskam spust. Stado zrywa się do ucieczki, ale mój koziorożec zostaje, odwraca się w naszą stronę, jakby zwiotczeje i spada po skałach w dół.

Spadł na łąkę i turlając się po niej, zsuwał się nią w naszym kierunku. Odetchnąłem ciężko. Nie wiem, czy z braku tlenu, a może z opadających emocji. Na pewno byłem zmęczony, ale też zadowolony z finału. Za pewnik uznałem, że w tym ostatnim strzale musiał maczać palce św. Hubert, bo to jest niemożliwe, bym trafił na taką odległość. Dżajdar widząc, że ledwo żyję, postanowił sam podejść tym super stromym stokiem, zabierając ze sobą na wszelki wypadek moją broń. Szybko, jakby spacerkiem doszedł do zwierza, trącił lufą i dał znać ręką – sprawdzony. Broń łąduje na plecach, chwyt za rogi i koziorożec sam zjeżdża ze stoku po trawie. Po kilkunastu minutach jest przy mnie. Dżajdar serdecznie mi gratuluje, a ja jemu dziękuję za zaciągnięcie mnie na ten dach świata. Widać, że Kirgizi nie znają tradycji złomu, więc sam zrywam kilka ziół z łąki, maczam w farbie strzelonego koziorożca i stroję nim swoją czapkę.

Czas na dokładne oględziny. Widać, że koziorożec jest stary, z dużą brodą, jeszcze w jasnej letniej sukni, a trofeum to potężne karbowane rogi.

Po przeliczeniu wyraźnych głębszych bruzd od wewnętrznej strony Dżajdar, który ma bardzo duże doświadczenie, mówi, że koziorożec ma dziesięć lat i bardzo dobre, grube i długie rogi. Radiotelefony idą w ruch. Bracia Kirgizi wymieniają się radosną wiadomością. Polecają trzeciemu z nich, Nulczikowi, by podjechał do nas konno potokiem zabierając po drodze nasze konie.

Dżajdar pyta, czy mam nóż. Okazuje się, że w pośpiesznym rannym pakowaniu zapomniałem o tym jakże ważnym elemencie ekwipunku myśliwego. Mój przewodnik ma co prawda mały szczyrtek lecz wczoraj otwierał nim konserwy, więc może być tępy. Na szczęście w górach jest wystarczająca ilość kamieni, więc na pewno znajdzie właściwy do jego naostrzenia. Jest południe; słońce znów grzeje. Jest na pewno powyżej 25 st. C. Szukam cienia lecz bezowocnie. Jesteśmy na wysokości 4500 m n.p.m. Kładę się na trawie za skałą, by odpocząć, lecz słońce dociera i tam. Po odpoczynku poprzedniego dnia mam już spaloną część twarzy i spękane wargi. W kieszeni kurtki znajduję bandankę z kompletu Jahti Jakt, która okazuje się zbawienna. Obwiązuję nią twarz, oczy zasłaniam daszkiem czapki i mogę spokojnie odpocząć.

Spałem na pewno ponad godzinę. Obudził

mnie Nulczik, który dołączył do nas, ale bez koni. Stromy stok potoku i duże głazy uniemożliwiły mu podejście z nimi, więc musiał je pozostawić niżej. Nulczik też nie miał noża, ale znalazł wśród kamieni ostry lupek i metodą zaczerpniętą z dawnych czasów pomagał nim przy obiełaniu. Po następnej godzinie cała skóra wraz z głową była ściągnięta. Część mięsa, szynki i polędwice zostały zapakowane do plecaków. Reszta musiała pozostać, gdyż dźwiganie takiego ciężaru na dużą odległość, do miejsca, gdzie czekały nasze konie, było ponad nasze możliwości. Droga powrotna była jeszcze dłuższa. Najpierw doszliśmy do koni, zapakowaliśmy bagaże i pomału schodziliśmy w dół potoku, na przemian jadąc konno lub prowadząc konie, w zależności od warunków. W pewnym momencie, podczas forsowania potoku, mój koń potknął się na obie przednie nogi, ja poleciałem głową w dół uderzając barkiem w szyję konia. Na szczęście, jakbym to przeczuwał, trzymałem się dobrze i nie spadłem. Koń szybko się pozbierał a ja miałem kolejną naucek. Widziałem przerażony wzrok Dżajdara. Spytałem go, co by było, gdybym spadł i sobie coś połamał? Trzeba by cię usztywnić i zwinąć na koniu do bazy a później do lekarza do Karakola – w sumie dwie i pół doby. Helikopter po ciebie nie przyleci, bo w Kirgistanie są tylko dwa. A poza tym dla helikoptera tu jest zbyt wysoko. Trzeba

więc po prostu bardzo uważać.

Do obozu dotarliśmy tuż przed zmrokiem – zmęczeni, ale szczęśliwi. Koledzy przywitali mnie owacyjnie. Po dokładnych oględzinach koziorożca Bogdan, jako najbardziej z nas doświadczony w tym zakresie stwierdził, że trofeum jest naprawdę wartościowe. Gajdar dotarł do obozu przed nami, więc kolacja była już gotowa. Zasiadliśmy w największym namiocie. Pierwszy raz byłem głodny. Od rana nic nie jadłem, nie licząc gorzkiej czekolady, wrzuconej na wszelki wypadek do kieszeni spodni. Stres i wewnętrzne napięcie odpłynęło. Byłem radosny, rozluźniony. Na taką okazję przytargałem w te góry butelkę własnej nalewki. Spóźnione lato – to nalewka niezbyt słodka, najlepsza na taką okazję. W trakcie degustacji powiedziałem kolegom, że obchodzimy dziś nie jedną a dwie uroczystości. Jedna to szczęśliwie pozyskanie koziorożca, natomiast druga to moje 61 urodziny. Gajdar, gdy to usłyszał, pokręcił głową i powiedział. „Nie przypuszczałem, że masz tyle lat. U nas tacy starszakiowie jak ty, siedzą w domu, poruszają się o laskach i nie wychodzą już w góry”. No cóż, odebrałem to jako duży komplement. Przyjąłem także życzenia od pozostałych kolegów.

W trakcie posiłku Gajdar poinformował nas, że widział drugie, mniejsze stado. Przed zmierzchem pasło się na łące, poniżej naszego obozu,



w odległości około dwóch kilometrów. Jutro więc Sebastian rusza w tym kierunku.

Udałem się na wyjątkowo po tym dniu zasłużony spoczynek. Jednak sen nie przychodził. Wydarzenia dnia dzisiejszego mocno wryły się w moją pamięć i musiałem sobie to wszystko położyć, uporządkować, oswoić się z nimi. Przypomniały mi się odległe czasy mojej młodości, gdy tak samo chłonałem opowiadania myśliwskie mego taty. To zupełnie inna historia, ale to właśnie tato ukształtował moją wrażliwość łowiecką. Jestem wysoko w górach, więc bliżej niego i sądzę, że mnie widzi i jest zaskoczony tym, gdzie pojechałem, a jednocześnie dumny ze mnie. Tak rozmyślając, nie wiem kiedy, usnąłem. Po przespaniu paru godzin przebudziłem się z wrażeniem, że coś się dzieje na zewnątrz. Napilem się herbaty z termosu i usłyszałem stukot koni poniżej obozu. Konie bardzo szybko podbiegły do namiotów, dysząc ciężko. Zastanawiałem się, co mogło je spłoszyć. Już prawie usypiałem, gdy usłyszałem dojmujące wycie wilka z góry nad nami. Następna zagadka się wyjaśniła. Po pewnym czasie jednak smacznie usnąłem pomimo, że konie postukiwały koło namiotu aż do świtu. Rano słyszałem, jak Sebastian z Kirgizami wyrusza na polowanie. Byłem wypoczęty lecz czułem jeszcze chłód nocy i nie chciało mi się wstawać. Wstałem dopiero, gdy słońce mocno przyświeciło wypędzając zamróz, wysuszyło namiot, trawę i kamienie. Do południa przeleniuchowałem i czerpałem radość z tego nic nie robienia. Zdarza

mi się to bardzo rzadko, więc tym bardziej cieszy, że tak też można. W południe, gdy odpoczywałem, siedząc na ułożonym przez siebie fotelu z kamieni, zauważyłem, że wraca Sebastian z Kirgizami. Podniosłem lornetkę do oczu i zobaczyłem, że do jednego z koni są przytoczone rogi koziorożca. A więc pełny sukces. Po pół godziny koledzy dotarli do obozu, przywożąc bardzo ładne trofeum. Gratulacjom i opowiadaniom nie było końca przed, podczas i po posiłku.

Po posiłku pakujemy się i udajemy w drogę powrotną. Będzie ciężko – koniom przybyły do przewiezienia trofea. Lecz my na szczęście już zdążyliśmy się do koni przyzwyczaić i lepiej na nich jeździmy. Szkoda, że wyjeżdżamy już z tej surowej, ale jakże pięknej krainy. W tyle za nami zostaje najwyższe pasmo Tienszanu z Pikiem Pabiedy (7439 m npm).

Na noc rozbijamy obóz przy byłej strażnicy pograniczników. Kirgizi śpią w jej ruinach. W nocy zrywa się wichura, pada śnieg, nad górami przemieszcza się burza. Budzimy się w zupełnie innej rzeczywistości. Góry, łąki, nasze namioty przykrywa warstwa świeżego śniegu. Nie spieszymy się zbyt, mamy jeden dzień zapasu. Przed nami pyszni się góra Kayyngdy (5142 m npm), którą będziemy obchodzić wokół. Za nią znajduje się baza, do której mamy dziś dotrzeć.

Po nocnej zawiei słońce przygrzało mocno, śnieg topniał szybko i po posiłku, o godzinie dziesiątej, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Najpierw ostro w górę brzegiem potoku dotarliśmy

do przełęczy. Tam stromizny się skończyły. Dalej, na łagodnych górkach, pokrytych trawą, widzieliśmy już stada zwierząt domowych. Tutaj nawet nasze konie czuły się, jak u siebie w domu; przyspieszyły, jakby już czuły stajnię. Poniżej wysokich łąk stoki gór wyglądały, jakby ktoś w nich powycinał tarasy. Przypominało to schody do wyjścia na górkę, porośnięte krzewinkami. Po południu dotarliśmy łagodnym kanionem do zagrody Gajdara. Tam przepakowaliśmy się do samochodu terenowego i po godzinie byliśmy w bazie. Zjedliśmy coś lekkiego i pierwszą sprawą była oczywiście bania. Nie ma nic lepszego na zmęczenie psychiczne i fizyczne, jak właśnie rosyjska bania. Nie mówiąc już o tym, że to pierwsza od tygodnia ciepła woda, w dodatku w takiej ilości! Dla mnie najlepsza temperatura to 80 st. C i dużo pary. Ciało wypaca wszystkie toksyny, stres opuszcza ciało i po kąpieli w zimnej wodzie czujesz się jak nowo narodzony. Przy kolacji ustalamy, że następnego dnia rano wyjeżdżamy w drogę powrotną przez Karakol do Biszkeku.

Podczas drogi powrotnej zobaczyłem ten fragment krajobrazu, którego ze względu na egipskie ciemności nie widziałem poprzednio. Było na co patrzeć! Droga wykuta w skale zawieszona wysoko nad pędzącymi wodami potoku, który coraz bardziej się powiększał przechodząc w sporą rze-

kę Sary Jaz. Z Karakola do Biszkeku jechaliśmy drugą stroną jeziora Issyk Kul. Wieczorem dojechaliśmy do Biszkeku. W hotelu mogliśmy wreszcie wejść pod prysznic, a potem położyć się na łóżku z wygodnym materacem. Czas spędzony w doborowym towarzystwie jednak bardzo szybko upływa. Było nam naprawdę smutno, że opuszczamy tak piękny i gościnny kraj.

Droga powrotna upłynęła o wiele szybciej. Gdy dotarliśmy do Moskwy, stwierdziliśmy, że to już prawie Europa, a zatem jesteśmy prawie w domu. Z perspektywy czasu sądzę, że była to najbardziej niebezpieczna i najbardziej wymagająca wyprawa. Jednak jak już to wszystko przeżyłem, wróciłem do domu, wyleczyłem wszystkie urazy psychiczne i fizyczne, poczułem się jak stuprocentowy mężczyzna, który nie tylko przeżywał wszystkie trudy i niewygody, pokonał wszelkie przeciwności losu, ale do tego pozyskał trofeum wspaniałego koziorożca syberyjskiego.

Sądzę, że tym samym postawiłem wisienkę na torcie swojej łowieckiej przygody.

Andrzej Patola

Myśliwy od 1973 roku, Prezes Koła Łowieckiego Hubert w Proszowicach. Myśliwski globtroter, kolekcjoner oraz autor opowieści o tematyce łowieckiej.



CZY MOŻNA LEGALNIE POŁOWAĆ

posiadając legitymację PZŁ wg „starego wzoru”?

Robert Knap



Wkrakowskim okręgu PZŁ na 2644 myśliwych aż 334 nie posiada aktualnych legitymacji PZŁ. Stanowi to prawie 13% myśliwych. Sprawa nie jest taka błaha, ponieważ polowanie bez wymaganych dokumentów jest nie tylko przewinieniem dyscyplinarnym, ale również czynem penalizowanym w Prawie łowieckim. Dlatego istotne jest, aby zarówno zarządy kół jak i Zarząd Okręgowy podjęły właściwe działania w tym zakresie.

Zgodnie z art. 42 ust. 2 ustawy z dnia 13 października 1995 r. Prawo łowieckie (Dz. U. z 2022 r. poz. 1173 z późn. zm.) podczas polowania uprawniony do jego wykonywania zobowiązany jest posiadać:

- 1) legitymację członkowską Polskiego Związku Łowieckiego. Wymóg ten nie dotyczy cudzoziemców wymienionych w art. 42a ust. 1 i art. 43 ust. 1;
- 2) pozwolenie na posiadanie broni myśliwskiej lub inny dokument uprawniający do jej posiadania, jeżeli wykonuje polowanie za pomocą broni przeznaczanej do celów łowieckich;
- 3) zezwolenie ministra właściwego do spraw środowiska na łowienie zwierzyny przy użyciu

ptaka łowczego, jeżeli wykonuje polowanie przy pomocy ptaków łowczych.

Ponadto do wykonywania polowania indywidualnego jest wymagane, poza dokumentami określonymi w ust. 2, pisemne upoważnienie wydane przez dzierżawcę lub zarządcę obwodu łowieckiego.

Zatem w skrócie, myśliwy powinien w trakcie wykonywania polowania posiadać przy sobie legitymację PZŁ, pozwolenie na posiadanie broni myśliwskiej oraz, w przypadku polowania indywidualnego, pisemne upoważnienie wydane przez dzierżawcę lub zarządcę.

Powstaje zatem pytanie, co to jest legitymacja PZŁ?

Otóż Zarząd Główny PZŁ uchwałą Nr 61/2016 z dnia 29 grudnia 2016 określił wzór legitymacji PZŁ – uchwała poniżej. Jednocześnie ZG PZŁ orzekł w tej uchwale, że dotychczasowe legitymacje PZŁ tracą ważność z dniem 31 grudnia 2018 roku. Zatem legitymacje PZŁ wg „starego wzoru” po dniu 1 stycznia 2019 roku posiadają wyłącznie wartość historyczną i nie są legitymacjami PZŁ. Wobec powyższego myśliwi, którzy są członkami PZŁ, ale wykonują obecnie poło-

wania nie posiadając legitymacji wg wzoru określonego powyższą uchwałą, naruszają obowiązek posiadania przy sobie określonych dokumentów.

Myśliwi, którzy obecnie nie posiadają legitymacji PZŁ wg nowego wzoru, narażają siebie oraz prowadzących polowanie, a także łowczych, na kłopoty związane z odpowiedzialnością dyscyplinarną. Warto też przypomnieć, że nie posiadanie przy sobie podczas polowania pozostałych dokumentów wymienionych w art. 42 ust. 2 ustawy Prawo łowieckie jest również wykroczeniem. Zgodnie z art. 51 ust. 1 pkt 6 ustawy Prawo łowieckie, kto poluje, nie posiadając przy sobie wymaganych dokumentów, podlega karze grzywny.

Przewinienie polegające na polowaniu bez wymaganych dokumentów jest przewinieniem czysto formalnym. Jest ono adresowane do osób będących członkami PZŁ, a więc posiadających uprawnienia do wykonywania polowania. Jednak to czysto formalne przewinienie podlega odpowiedzialności dyscyplinarnej na podstawie art. 35b ust. 1 pkt 1 ustawy Prawo łowieckie.

W związku ze zbliżającymi się wyborami warto w tym miejscu przypomnieć, że zgodnie z art. 33c ust. 1 pkt 2 ustawy Prawo łowieckie w skład organów Polskiego Związku Łowieckiego, a także w skład zarządu koła łowieckiego lub komisji rewizyjnej może wchodzić wyłącznie osoba, która nie była skazana prawomocnym wyrokiem za umyślne przestępstwo lub przestępstwo skarbowe lub nie była ukarana w postępowaniu dyscyplinarnym. Dlatego popełnienie tego czysto formalnego, na pozór drobnego,

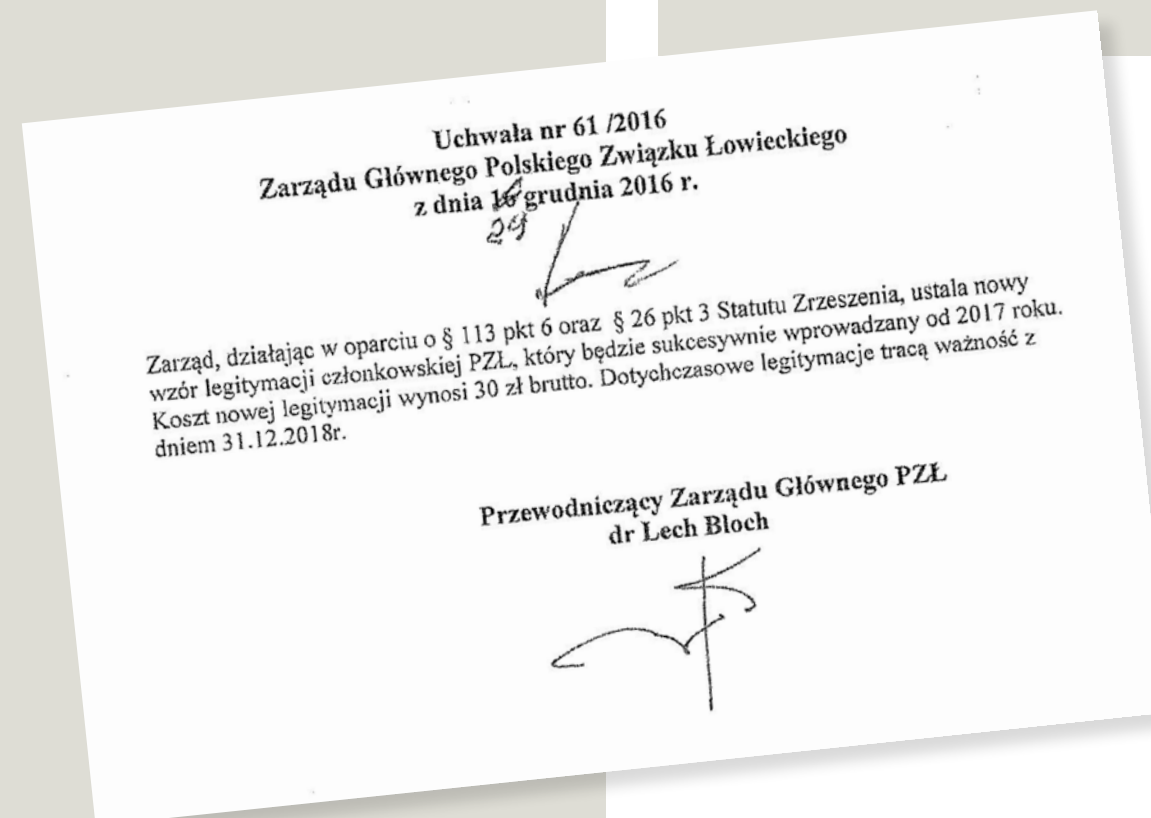
przewinienia przez myśliwego, który zostanie skazany przez sąd łowiecki, może wpłynąć na jego możliwość pełnienia funkcji w zrzeszeniu lub kole łowieckim.

Polowanie bez posiadania legitymacji PZŁ może narazić także prowadzących polowanie na kłopoty związane z odpowiedzialnością dyscyplinarną, bowiem zgodnie z § 31 ust. 1 pkt 5 rozporządzenia Ministra Środowiska z dnia 23 marca 2005 r. w sprawie szczegółowych warunków wykonywania polowania i znakowania tusz (Dz. U. Nr 61 poz. 548 z późn. zm.) prowadzący polowanie przed rozpoczęciem pierwszego pędzenia przeprowadza odprawę myśliwych, w trakcie której powinien sprawdzić dokumenty uprawniające do udziału w polowaniu.

Tak więc myśliwi, którzy aktywnie polują, winni niezwłocznie złożyć wnioski o wyrobienie legitymacji wg wzoru określonego uchwałą Zarządu Głównego PZŁ z grudnia 2016 roku. Natomiast zarządy kół łowieckich oraz Zarząd Okręgowy PZŁ nie powinny być bierne w tym zakresie.



Robert Knap – członek PZŁ od 1995 roku. Poluje w Kołach Łowieckich „Puszcza” w Niepołomicach i „Kormoran” w Krakowie. Prezes Koła Łowieckiego Kormoran w Krakowie. Delegat Koła na Zjazd Okręgowy. Odznaczony Złotym Medalem Zasługi Łowieckiej.

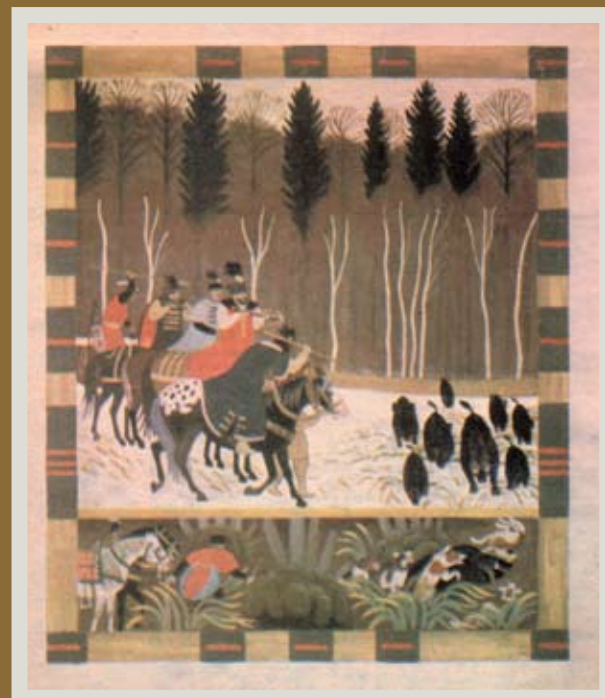


„Arrasy” z Niepołomic

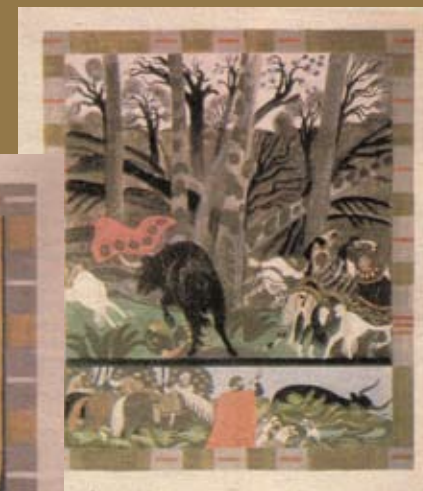
Mija ponad czterdzieści lat od czasu, gdy ówczesne Ministerstwo Kultury i Sztuki wraz z dyrekcją Zamku Królewskiego na Wawelu postanowiło rozpiścić konkurs plastyczny na projekt gobelinów mających stanowić wystrój zamków na terenie historycznie rozumianej Ziemi Krakowskiej. Głównie chodziło o cztery zamki: w Krasieczynie, Baranowie, Niepołomicach i Wiśniczu. Niektóre z gobelinów poddane zostały gruntownej renowacji, by odzyskać dawny blask. Tak było w przypadku zamku w Niepołomicach.

Jednym z tematów konkursu było „Łowiectwo na przestrzeni wieków”. Temat trudny i niewdzięczny, jako że sztuka będąca zapisem aktualnej rzeczywistości, pasji i fascynacji, często w przypadku tematów w jakimś sensie archaicznych, kopiuje rozwiązania już istniejące, a jej twórcy stają się epigonami dawnych mistrzów. Polowanie dla twórców malowideł w Lascaux i Altamirze było tematem absolutnie najważniejszym i aktualnym – decydowało bezpośrednio o ich życiu. Później stawiało się jedną z najważniejszych rozrywek – szeroko dokumentowaną czy to w sztukach plastycznych, czy w literaturze bądź muzyce. W polskim malarstwie szczególnie wiek XIX obfitował w wysokiej klasy przedstawienia. Najlepszym z nich jest niewątpliwie dzieło Juliana Fałata – wybitnego, nowatorskiego malarza, a jednocześnie zapalonego myśliwego, częstego uczestnika łowów w radziwiłłowskim Nieświeżu.

Po II wojnie światowej łowiectwo w sztuce było nurtem coraz bardziej niszowym, rzecz można „usychającą gałęzią” współczesnego malarstwa. Na tym tle wybijało się kilku twórców, działających na polu ilustratorstwa. Należą do nich Stanisław Rozwadowski – „etatowy” ilustrator Łowca Polskiego (od lat czterdziestych do pięćdziesiątych!) i Janusz Towpik. Ten drugi z powodzeniem zajmował się zarówno przedstawieniami realistycznymi – tu ryciny do atlasu „Ssaki Polski”, jak i fantazyjnymi ilustracjami bajek i opowiadań. Sporadycznie współpracował z Łowcem Polskim, a w konkursie na Światowej Wystawie Łowiectwa w Budapeszcie, za ilustracje do książki „Król poluje” Janiny Lasockiej otrzymał drugą nagrodę. W projekcie zamkowych gobelinów, znakomicie potrafił nawiązać do wawelskich arrasów, tworząc jednocześnie dzieło na wskroś współczesne, jak i wielkiej urody. Na kilkunastu

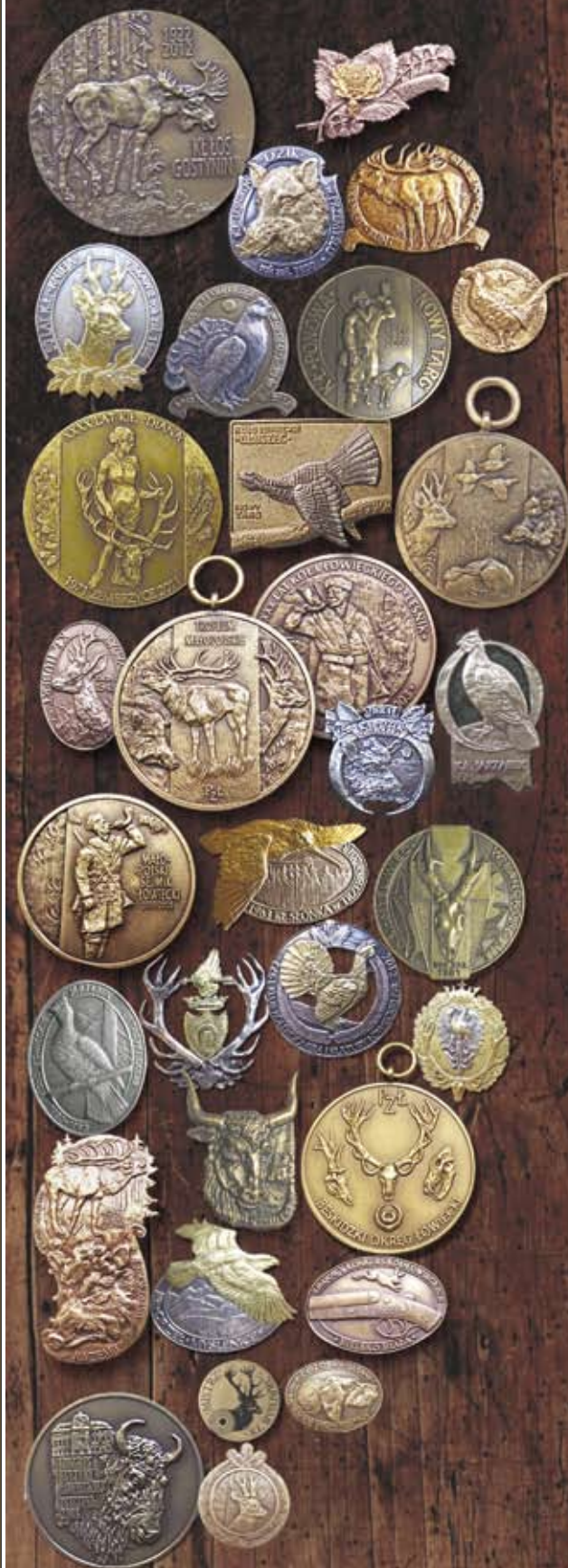


wielkich kartonach wyczarował zimowe łowy królewskie na tura czy żubry, rykowisko w górach, czy polowanie z sokolem. Świetna i jednocześnie dowcipna praca pt. „Łgarskie opowieści myśliwskie” porusza ponadczasowy temat przesady w opisach naszych łowieckich przewag. Janusz Towpik w omawianym konkursie zajął ex equo pierwsze miejsce, wspólnie z Heleną Tchórzewską. Gobeliny jej projektu miały zawisnąć na zamku w Niepołomicach, zaś jego w Krasieczynie. Czy tak się stało – nie wiem, ale tu nasuwa się pewna myśl. Otóż na zamku niepołomickim, staraniem Tadeusza Uhla i Janusza Maławskiego, działaczy łowieckich lat dziewięćdziesiątych, udostępniono krakowskim myśliwym trzy sale, z przeznaczeniem na łowiecką ekspozycję. Zorganizowano ją siłami ówczesnej Komisji Kultury i Etyki, pod przewodnictwem Wojciecha Plewińskiego. Efekt finalny do dziś robi wrażenie na zwiedzających. Być może na stulecie PZŁ warto byłoby, aby na ścianach muzeum zawisła parę spośród tych gobelinów. Wykonanie ich techniką haftu komputerowego nie powinno sprawiać dużych trudności, a i cena o zawrót głowy nie przyprawi. I tak, po ponad czterdziestu latach, myśliwskie „arrasy” zawisłyby w miejscu najbardziej do tego stosownym.



Hubert Zwinczak
artysta grafik,
myśliwy

MEDALE I ODZNAKI ŁOWIECKIE
HUBERT ZWINCZAK
tel. 693 40 50 80



KOLACJA DLA DWOJGA

Mózdzek z dzika *po staropolsku z grzankami*



I. Składniki

1. porcja mózgu z dzika (mogą być dwie)
2. 1 średniej wielkości cebula
3. mały ząbek czosnku
4. 3 jajka
5. ser żółty w plastrach
6. ocet
7. natka pietruszki lub szczypiorek
8. grzanki z chleba tostowego
9. sól i pieprz

II. Przygotowanie

1. Mózg obrać z błony i optukać.
2. Obgotować przez około dwie minuty we wrzącej wodzie z małą ilością octu, a następnie wyjąć łyżką cedzakową i ostudzić.
3. Cebule obrać i pokroić w grubą kostkę, zasmażyć na maśle, a najlepiej na topionym sadle z dzika, dodając posiekany drobno czosnek.
4. Schłodzony mózdzek pokroić w grubą kostkę, połączyć go z cebulą i wybić jaja. Mieszając smażyć do ścięcia białka. W trakcie smażenia przypawić solą i pieprzem.
5. Przygotować gorące grzanki, a na nich ułożyć cienkie plastry dobrego żółtego sera (np. gouda).
6. Gotową potrawę wyłożyć na talerze, posypując ją siekaną natką pietruszki lub szczypiorkiem.

*Miłym dodatkiem będzie lampka dobrego
czerwonego wina*

Mitych vražen kulinarnych
Darz Bór



Mariusz Ligęza
leśnik, myśliwy, kolekcjoner,
znawca dobrej kuchni



Smacznego!



Spis treści:

Czy myśliwy powinien mieć psa?	3
Marek Wajdzik	
Zostawmy wilka innym!	4
Henryk Okarma	
Co należy zrobić, by w łowisku jarząbek był liczniejszy?	10
Marcin Matysek	
Ochrona rysia – nasza wspólna sprawa	16
Jan Loch	
Wiosna	22
Rafał Łapiński	
Ogar Polski - nasz narodowy skarb	26
Sławomir Pawlikowski	
Pierwsi mierniczowie CIC w Polsce	30
Mateusz Dudzik	
Jakut – nóż o bogatej historii	32
Dariusz Knap	
Zabijam, więc jestem	34
Zbigniew Ciemniowski	
Bruno Konczakowski	38
Waldemar Smolski	
Co pastrze i zaborcy wnieśli do języka łowieckiego	42
Beata Malczewska	
Koła Łowieckiego BÓR w Krakowie 70 lat historii	48
Jacek W. Jaskulski, Mieszko Ćwiertnia	
Wojciech Zdebski 1965 – 2022 wspomnienie	55
Odznaczenia łowiecki	56
Waldemar Smolski	
Na dachu świata – Kirgistan, cz.II	58
Andrzej Patola	
Czy można legalnie polować posiadając legitymację PZŁ wg „starego wzoru”?	64
Robert Knap	
„Arrasy” z Niepołomic	66
Hubert Zwinczak	
Kuchnia myśliwska	68
Mariusz Ligęza	



WYDAWCA

Zarząd Okręgowy Polskiego Związku
Łowieckiego w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY

Marek Wajdzik

REDAKCJA

Ewa Dobrzyńska-Lankosz
Roman Barbasz
Bogdan Kowalcze
Henryk Okarma
Wojciech Plewiński
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stale współpracują:
Ryszard Adamus Andrzej Łada
Rafał Łapiński

SKŁAD I ŁAMANIE

Hubert Zwinczak

DRUK

Drukarnia Standruk

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za
treść publikowanych materiałów i reklam,
zastrzega sobie prawo nieodpłatnego pu-
blikowania nadesłanych artykułów oraz
zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opraco-
wania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie
zwraca niezamówionych materiałów.

Zdjęcia na okładce:

Włodzimierz Łapiński str. 1
Hubert Zwinczak str. 2
Włodzimierz Puchalski str. 3
ze zbiorów Muzeum w Niepołomicach
Wacław Nowak str. 4



